81 LAT
CZWARTEK
UKAZUJE SIĘ OD 1945

3 września 2026

NR 206 (18599)

Sport

70 lat

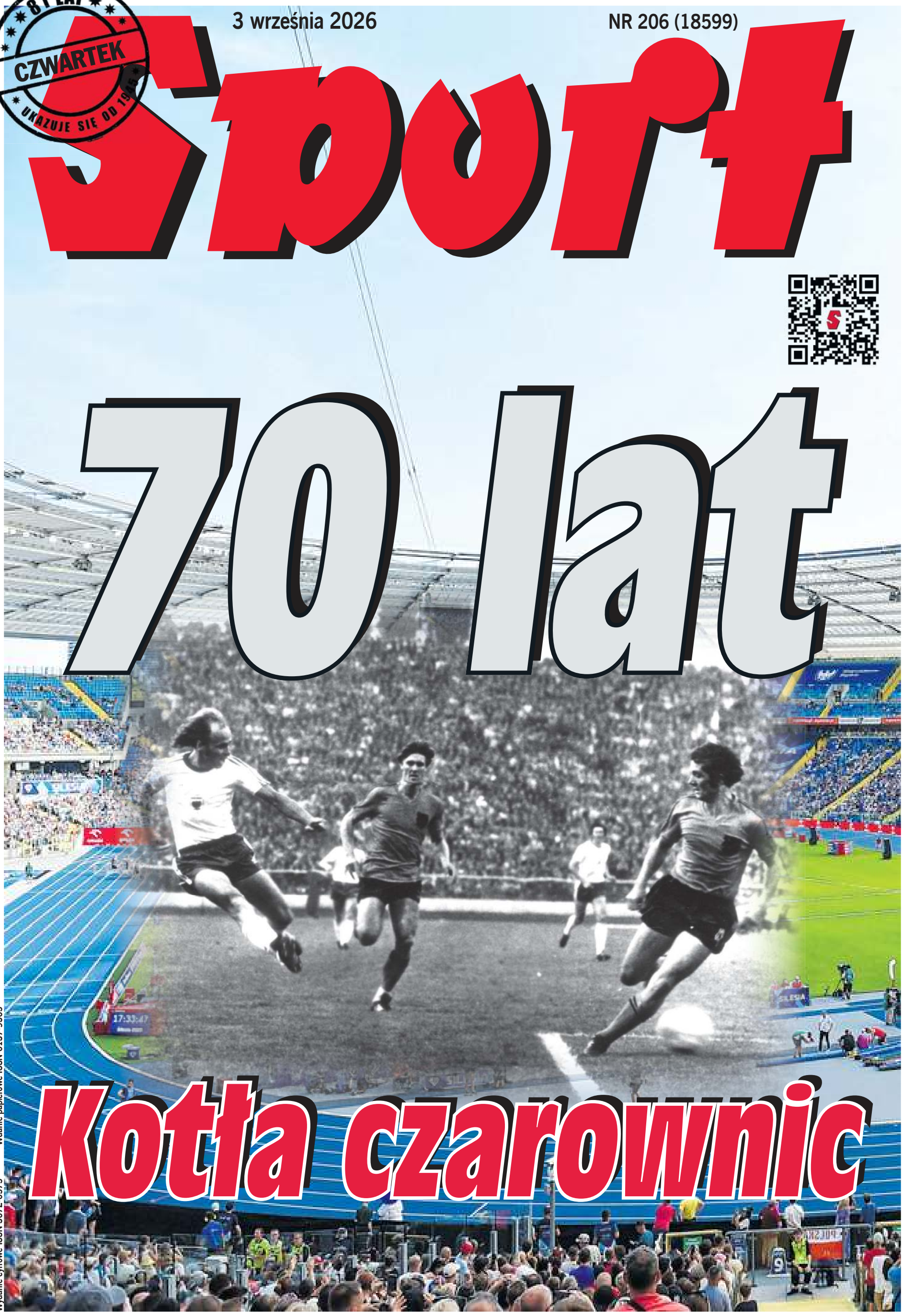

Kotła czarownic

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Z DRUGIEJ STRONY

TOMASZ Mucha

Desperacja **prowincjusza**

Raków był już na salonach i może jeszcze kiedyś na nie wróci. Na razie spadł do roli prowincjusza, na co solennie zapracował.

Oczywiście miano czerwonej latarni po czterech meczach sezonu jest znamienne, ale jeszcze nie jest wyrokiem, do końca ligi szmat czasu i mnóstwo grania. Można założyć, że pod Jasną Górą w końcu się pozbierają i zaczną punktować. Ironicznie można powiedzieć nawet, że wciąż są w grze o Puchar Polski (okej, no nie zagrali jeszcze) – a taka Legia Marka Papszuna już ma te rozgrywki z głowy.

Nie bez kozery przywołuję to nazwisko, które jest symbolem sukcesów częstochowskiego klubu w ostatnich latach. Gdy jednak Papszun dwukrotnie opuszczał Raków, Medaliki za każdym razem ogarniała dziwna trwoga, jakby bezbronne oseski na pastwę losu zostawiał jedyny żywiciel rodziny. Skutkowało to tym, że żaden z jego następców nigdy nie dostał prawdziwego kredytu zaufania, a w opinii bossów już na starcie nie spełniał oczekiwań wyśrubowanych przez „papę". Nawet Dawid Szwarga, który w bólach wytrwał sezon, od początku miał pod górkę. Łukasz Tomczyk miał być projektem na lata – cierpliwość „pana boga" skończyła się po całych czterech miesiącach, choć trudno tamte wyniki uznać za złe, zwłaszcza z perspektywy dnia dzisiejszego.

Ale szalone domino już trudno zatrzymać: to, że misja jego następcy jest skazana na niepowodzenie, było jasne od początku – i tak tym gorącym kartoflem Dawid Kroczek żonglował długo.

Teraz na horyzoncie pojawia się „zbawca" Goncalo Feio; znając przeszłość Portugalczyka, w tym pikantne historie z samej Częstochowy, samo rozważanie tej opcji wygląda na objaw desperacji szefów, którzy postradali zmysły.

A dlaczego desperacja prowincjuszy? Oczywiście nie chodzi o geografię, tylko o sposób myślenia – czytaj: kalanie ludzi, którzy jeszcze wczoraj byli na liście płac (a właściwie wciąż na niej są). Podobnie jak przy poprzedniku z klubowych gabinetów ruszyła oto kampania deprecjonowania szkoleniowca, wręcz wyśmiewania jego domniemanych zachowań: wtedy Tomczyk miał bać się szatni, teraz Kroczek zamknął się w gabinecie... Budzi to mój niesmak. Trudno nie odnieść wrażenia, że Rakowowi udał się tylko Papszun, wszyscy inni są do bani. Tylko czy aby do bani nie są sami swoi i zamiast szatni pora przewietrzyć gabinety?

Będzie opcja atomowa?

Jeśli Raków wygra z Górnikiem, Dawid Szulczek ma szansę popracować w Częstochowie dłużej niż do najbliższego poniedziałku.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Przy Limanowskiego nie byli przygotowani na tak szybką zmianę trenera. Dawid Kroczek, który w końcówce poprzedniego sezonu uratował Częstochowianom awans do europejskich pucharów oraz poprawił styl gry zespołu, był nadzieją na dłuższą współpracę. Seria czterech porażek w lidze, do tego w kiepskim stylu, w połączeniu z brakiem kwalifikacji do fazy ligowej Ligi Konferencji zmusiła jednak działaczy do nieplanowanych ruchów.

Jak odchodził Kroczek

W niedzielę Raków przegrał 2:5 z Jagiellonią, a gdyby Białostoczanie wykorzystali tylko wszystkie stuprocentowe okazje, porażka mogła być wyższa niż słynne 1:8 z GKS-em Tychy przed dziesięcioma laty. Po takim blamażu oczekiwano, że trener poda się do dyspozycji zarządu już podczas pomeczowej konferencji. Ten jednak wybrał inną strategię. Postanowił wrzucić kamyczek do ogródka osób zarządzających, w zawoalowany sposób zarzucając im brak satysfakcjonujących transferów. A potem miał schować się w swoim gabinecie i nie rozmawiać z działaczami o przyszłości. Starał się unikać kontaktu z przełożonymi, aż decyzję o zwolnieniu w poniedziałkowe popołudnie przekazał mu Michał Świerczewski.

Tym razem miała ona być podjęta nie jednoosobowo (jak w przypadku Łukasza Tomczyka), a przedyskutowana z Wojciechem Cyganem oraz Dawidem Krzętowskim. Wszyscy byli zgodni: dalsza misja Kroczka w Rakowie nie przyniesie niczego dobrego. Jego mowa ciała oraz słowa wypowiedziane w szatni tuż po meczu świadczyły bowiem jednoznacznie, że wywiesił białą flagę i - wbrew temu, co przekazywał mediom - nie miał już pomysłu, jak pomóc drużynie. Na razie skończyło się tylko na pożegnaniu z pierwszym trenerem, choć wiele wskazywało na to, że zmiany w sztabie będą daleko bardziej posunięte.

Szansa Szulczka

O tym, że przy Limanowskiego nie zakładali takiego scenariusza nawet po odpadnięciu w kiepskim stylu z Hajdukiem (2:3) najlepiej świadczy fakt, że rozmowy z kandydatami tak naprawdę dopiero się rozpoczynają. Obowiązki pierwszego trenera zostały przekazane jednemu z asystentów - Dawidowi Szulczkowi i wszystkim byłoby na rękę, aby drużyna w meczach z Górnikiem oraz Lechem wypadła na tyle korzystnie, żeby klub po niedzieli nie musiał szykować kolejnego komunikatu o zmianie na ławce trenerskiej.

Po pierwsze - przy Limanowskiego chcą mieć więcej czasu na wyselekcjonowanie odpowiedniego kandydata. Po drugie - ważnym czynnikiem jest w tym momencie ekonomia. Realia są bowiem brutalne, Raków będący poza europejskimi pucharami, na ostatnim miejscu w tabeli, nie jest ani wymarzonym miejscem pracy dla trenerów „z nazwiskiem", ani w klubie nie przewidywali takiej pozycji w budżecie. Szulczek natomiast i tak znajduje się na liście płac, jako „pierwszemu" trzeba będzie dać mu jedynie podwyżkę.

Czy ma szansę zostać na dłużej? Jest trenerem z zupełnie innej bajki niż Kroczek i w klubie mają nadzieję, że jego świeże spojrzenie pobudzi zespół. Nie jest nazywany trenerem tymczasowym, bo... w Rakowie marzą o tym, aby dostarczył silnych argumentów za tym, aby pracować dłużej niż do meczu w Poznaniu (6 września). Nikt tego nie mówi głośno, ale w Rakowie bardzo po cichu liczą na cztery punkty w dwóch najbliższych grach. To gwarantowałoby pracę Szulczkowi co najmniej do reprezentacyjnej przerwy, a kto wie, czy nie dłużej.

Feio rzuci granat?

Biorąc jednak pod uwagę obecną dyspozycję Częstochowian oraz jakość najbliższych rywali trzeba liczyć się z tym, że w niedzielny wieczór Raków nadal będzie mieć zero punktów, a perspektywa rychłego wydostania się ze strefy spadkowej stanie się jeszcze bardziej mglista.

Co wtedy? Wedle doniesień medialnych w Rakowie wybierają pomiędzy Goncalo Feio a Dawidem Szwargą. Nam udało się jednak ustalić, że nazwisk potencjalnych kandydatów jest więcej. Nie ma wśród nich jednak na pewno Pavola Stano czy Jerzego Brzęczka, którzy też pojawiali się w tych spekulacjach. Nie jest też w ogóle w tym momencie brany pod uwagę szkoleniowiec z zagranicy (Feio traktowany jest jak trener krajowy). Nie da się ukryć, że w sytuacji podbramkowej (a taką będzie sześć ligowych porażek z rzędu) najbliżej będzie do zastosowania „opcji atomowej", czyli zatrudnienia furiata Feio, którego zadaniem będzie „wrzucenie granatu" do szatni i wywrócenie wszystkiego o 180 stopni.

W Rakowie doskonale zdają sobie sprawę, jakie ryzyko niesie za sobą zatrudnienie szkoleniowca, który dał się niejednokrotnie poznać jako człowiek niestabilny emocjonalnie – i to najłagodniejsze z określeń, jakie można wobec Portugalczyka zastosować. Niemalże w każdym klubie zostawiał za sobą spaloną ziemię, a jego pożegnanie to mniejszy bądź większy skandal. Zresztą przy Limanowskiego mieli się okazję przekonać o tym empirycznie, gdy odszedł z klubu po bójce z kierownikiem drużyny Kamilem Waskowskim, będąc jeszcze asystentem Marka Papszuna.

W częstochowskim klubie sytuacja robi się jednak na tyle podbramkowa, że jego kandydatura jest poważnie rozpatrywana nawet z wszystkimi wiążącymi się z tym ryzykami. Te w razie zdecydowania się na Portugalczyka, będą chcieli zresztą zminimalizować odpowiednimi zapisami w kontrakcie na wypadek jego kolejnego napadu furii. Nikt nie ma wątpliwości, że na Feio nie można opierać długoterminowego projektu. Raków potrzebuje jednak dźwignięcia natychmiastowego, a do tego Portugalczyk nadaje się doskonale, bo jedyne, czego nie można mu zarzucić, to braku warsztatu trenerskiego. Gdyby nie jego destrukcyjne zachowania, z pewnością nie byłby obecnie wolnym szkoleniowcem. – Kupimy garść tabletek uspokajających dla wszystkich pracowników, pochowamy tacki i jakoś to będzie – słyszymy trochę śmiesznie, trochę strasznie w częstochowskim klubie.

Szwarga? Tak, ale nie teraz

Zatrudnienie Feio jest bardziej prawdopodobne niż Szwargi, bo ten choć cieszy się ogromnym zaufaniem Świerczewskiego, to jest raczej projektem długofalowym. Na pewno jest w tym momencie lepszym trenerem niż w momencie, gdy odchodził z Rakowa po sezonie 2023/24, za kilka lat może być topowym trenerem w Polsce, cały czas się rozwija, ale nie daje gwarancji poprawy wyników tu i teraz. Poza tym wcale nie takie łatwe (i tanie) mogłoby się okazać wyciągnięcie go z GKS-u Katowice, gdzie pełni funkcję asystenta Rafała Góraka. - Dobrze przygotowany merytorycznie, z bagażem doświadczeń i autorskim pomysłem. Zawodnicy muszą zobaczyć, że wszedł gość z wizją, którą oni kupią. Tego potrzebuje teraz Raków – słyszymy w klubie odpowiedź na pytanie, jaki powinien być nowy trener Medalików. W eksperymenty nikt w tym momencie nie chce się bawić. Dopuszczalna jest również zmiana systemu 3-4-2-1, w którym Raków gra od ponad dziesięciu lat.

W klubie nikt nie chce dopuścić do siebie myśli, że Raków może mieć realny problem z utrzymaniem. Panuje przeświadczenie, że gdy drużyna zdobędzie pierwsze punkty, „pójdzie z górki". Choć racjonalnych przesłanek za takim scenariuszem obecnie brakuje, to faktem jest, że odkąd Michał Świerczewski zainwestował w klub, cele ma ambitne. Raków nie drżał o utrzymanie nawet jako beniaminek w sezonie 2019/20. Już w kolejnym sięgnął po wicemistrzostwo oraz Puchar Polski. Zdobycie tego ostatniego ma być jednym z celów postawionych nowemu trenerowi. Czy realnym? Najbliższe tygodnie powinny wskazać kierunek, w którym zmierzają Częstochowianie.

Mariusz Rajek

Fot. Grzegorz Misiak/PressFocus

Takich obrazków - radość ich ulubieńców po zdobytym golu - kibice Rakowa w ostatnim czasie nie mieli zbyt wielu okazji oglądać...

NIE PRZEGAP!

PKO BP Ekstraklasa
– 5. kolejka (zaległy)
Raków - Górnik
czwartek, 18.00 – Canal+ Sport 3
sędziuje Paweł Raczkowski (Warszawa)

Sport 62faaaedab

Fot. Kacper Pacocha/PressFocus

Tomasz Loska w dwa lata zagrał w ekstraklasie trzy mecze.

Wicemistrz przegrał trzy spotkania z rzędu, stracił w nich 10 goli. Na Raków zespół powinien wyjść z przynajmniej jedną zmianą w składzie.

GÓRNIK ZABRZE

Sytuacja wicemistrza i zdobywcy Pucharu Polski jest na początku września wciąż dobra. Owszem, niepowodzeniem skończyło się granie w europejskich pucharach (dwa remisy i cztery porażki), ale w lidze jest na plus.

Choć derby z GKS-em w niedzielę nie wyszły, to jednak komplet punktów we wcześniejszych trzech grach robi swoje. Dobry wynik w czwartkowym spotkaniu pod Jasną Górą to powrót na pudło, a jest w zanadrzu kolejne zaległe ligowe spotkanie, z Koroną w Kielcach 15 września.

To muszą poprawić

W Zabrzu przez ostatnie godziny dochodzili do siebie po tym, co stało się w końcówce starcia z Katowiczanami. Przegrano wygrany mecz, bo przecież Górnicy jeszcze w 90 minucie prowadzili 2:1, żeby stracić dwa gole w doliczonym czasie i zejść z boiska ze spuszczonymi głowami. - Wcześniej graliśmy tak, jak oczekiwałem, choć Katowice dobrze broniły, byli dobrze przygotowani na nas – komentował trener Michal Gasparik.

Za Górnikiem, wliczając dwie porażki z AS Monaco w play offie Ligi Konferencji, trzy przegrane z rzędu. Do tego strata sporej liczby goli. Jeżeli jeszcze z ekipą z Ligue 1 przegrane były „wkalkulowane", to już z GieKSą -niekoniecznie, a sposób traconych goli przez wicemistrza Polski woła o pomstę do nieba! To co się dzieje w tyłach; sposób, w jaki jedenastka z Zabrza traci gole, krytykowany jest przez kibiców, ekspertów. Wszyscy widzą, że Górnicy mają problemy między słupkami, na wysokości zadania nie staje sprowadzony latem z ledwie trzeciej ligi Philipp Schulze. Czy widzi to też sztab szkoleniowy? - Patrzymy na to, co jest w lidze. Monaco nie było w naszym zasięgu. Martwi mnie natomiast to, że tak łatwo tracimy bramki. Tak było z Monaco, tak było z Katowicami. To musimy poprawić na pewno – przyznaje szkoleniowiec.

Słaby Schulze...

Ale jak wszystko poprawić w ciągu kilkudziesięciu godzin? Przy napiętym terminarzu, meczach co parę dni, gdy nie ma czasu na trening, na dopieszczanie wszystkiego... Kiedy Zabrzanie ostatni raz na potęgę tracili bramki jak teraz, a było to pod koniec zeszłego roku (przegrane z Radomiakiem 0:4 i z Lechią 2:5), był czas na poprawienie gry defensywnej w zimowych przygotowaniach. Teraz liga gna, czasu nie ma. Trzeba się ratować zmianami w składzie, choć... niekoniecznie takimi, jak ostatnio. Wystawienie Pawła Bochniewicza w Monaco przed tygodniem nie było dobrym pomysłem trenera Gasparika...

Nie wiedzieć czemu w bramce dalej trwa Philipp Schulze. Jego liczbowy bilans w tym sezonie to 11 meczów i aż 20 puszczonych goli! Z wyjątkiem drugiej połowy spotkania z Fenerbahce w Stambule, gdzie zanotował dwie świetne interwencje, nie pomaga zespołowi, a błędy w kolejnych grach potęgują złe wrażenie.

Być jak Bielica!

Niespełna cztery lata temu, w zaległym meczu w grudniu 2021 roku z Rakowem pod Jasną Górą, kiedy bramkarską jedynką w Górniku był Grzegorz Sandomierski, a drużynie niespecjalnie szło, trener Jan Urban postawił niespodziewanie na Daniela Bielicę (we wtorek zaliczył swój pierwszy występ w barwach Portsmouth w Championship). Był to strzał w dziesiątkę. Zabrzanie wygrali niespodziewanie na trudnym terenie 2:1, a Bielica miejsca Sandomierskiemu już nie oddał.

Czy teraz taki Bielica jest w kadrze Górnika? No cóż, wtedy 22-latek terminował w trzecioligowych rezerwach. Teraz bramkarze nr 2 i 3 w Górniku (doświadczony Tomasz Loska i młodziutki Wiktor Kania), nie mogą „łapać" minut w rezerwach, bo klub w nieodpowiedzialny sposób je zlikwidował. Jest jeszcze 23-letni Piotr Pietryga. Kto więc za Schulze? Zobaczymy w czwartek wieczorem...

Michał Zichlarz

TAK TRACI GÓRNIK

Superpuchar Polski, 16 lipca,	Lech	3 bramki
LM, 21 lipca,	Fenerbahce	1 bramka
Ekstraklasa, 25 lipca,	Śląsk	1 bramka
LM, 29 lipca,	Fenerbahce	1 bramka
LE, 5 sierpnia,	Ferencvaros	1 bramka
Ekstraklasa, 8 sierpnia,	Radomiak	1 bramka
LE, 13 sierpnia,	Ferencvaros	1 bramka
Ekstraklasa, 16 sierpnia,	Wisła K.	1 bramka
LK, 20 sierpnia,	Monaco	3 bramki
LK, 27 sierpnia,	Monaco	4 bramki
Ekstraklasa, 30 sierpnia,	GKS Katowice	3 bramki

Bilans: 11 meczów – 20 bramek

Są straty, ale i zyski

Największy ból głowy w Poznaniu to kontuzja Antoniego Kozubala, który wypada na kilka tygodni.

LECH POZNAŃ

Mistrzowie Polski są niepokonani od siedmiu spotkań, a w ekstraklasie ostatni raz doznali porażki na początku marca. Niedzielny mecz z Widzewem, wygrany po błędzie Bartłomieja Drągowskiego, jeszcze bardziej wzmocnił mentalnie zespół. Chociaż Lech nie jest zbyt pewny w defensywie, w ofensywie wręcz wymiata. We wspomnianych siedmiu grach piłkarze Kolejorza zdobyli aż 23 gole!

Teraz Niels Frederiksen spodziewa się, że w meczu z Jagiellonią oba zespoły także zaprezentują ofensywne oblicza. Duma Podlasia w niedzielę wpakowała aż 5 goli Rakowowi. – Zmierzą się dwie najlepsze drużyny w kraju, a ja spodziewam się otwartego meczu – przyznał Duńczyk.

Musi on jednak co chwilę zmagać się z kolejnymi urazami swoich zawodników. W meczu z Widzewem całe spotkanie rozegrał Antoni Kozubal, strzelił nawet pierwszego gola dla swojego zespołu, a teraz... wypadł nawet na 6 tygodni! Wszystko spowodowane jest kontuzją kostki. Lechici w tym czasie rozegrają aż pięć spotkań!

Duński szkoleniowiec może się za to cieszyć, że do zdrowia wrócił Filip Jagiełło, który jest jednym z kandydatów do składu obok Radosława Murawskiego, Gustava Berggrena czy Pablo Rodrigueza, który nieraz grał już w środku pola, a nie za plecami napastnika. – W czwartek do kadry meczowej wrócą też Joao Moutinho, Leo Bengtsson oraz Mikael Ishak. Oni w ostatnim czasie trenowali indywidualnie, w tym czasie doprowadzaliśmy ich do formy – starał się nie tracić optymizmu Niels Frederiksen.

W przyszłym tygodniu ma wrócić do treningów także Daniel Hakans. I tylko o Alexie Douglasie... słuch zaginął. Szwed leczył kontuzję, usiadł na ławce w meczach z FC Thun i Klaksvik, a teraz... ponownie doznał urazu i nawet sam trener nie wie, ile będzie trwała przerwa. W Poznaniu jest klimat do ofensywnej gry i do... kontuzji! Co sezon można tu otwierać mały polowy szpital pod stadionem!

Miłosz Cebo

NIE PRZEGAP!

PKO BP Ekstraklasa
– 5. kolejka (zaległe)
Lech - Jagiellonia
czwartek, 20.30 – Canal+ Sport 3
sędziuje Szymon Marciniak (Płock)

Fot. Weronika Marciszek/PressFocus

Piłkarz... drużynowy – mówi szkoleniowiec Jagi o Niku Prelcu.

Już 111 goli w ekstraklasie ma Jesus Imaz. Nik Prelec – dopiero trzy. Ale dużo się o nim mówi.

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK

Transfer Słoweńca – jak w przypadku kilku wcześniejszych „odkryć" Białostoczan – był niespodzianką. I... niewiadomą. Wyjąwszy sezon w WSG Tirol (8 goli, 5 asyst w austriackiej Bundeslidze), jego seniorskie CV nie było pełne spektakularnych liczb. W Jadze – na razie – jest inaczej: średnio w każdym z czterech dotychczasowych meczów w lidze brał udział w akcji bramkowej! Ma na koncie trzy gole i asystę, przy czym najbardziej „punktodajny" był dla niego niedzielny mecz w Częstochowie (1+1). Tam zaimponował zimną krwią przy dobitce na 1:2, zadziwił też asystą przy golu na 2:4. Powinien sam kończyć kontrę, a jeszcze wystawiał piłkę Ousmane'owi Sow! - Szczerze mówiąc, myślałem, że ktoś z obrońców jest za mną, dlatego podawałem w pierwszym kontakcie. Nie wiedziałem, że jestem sam. Ale jestem szczęśliwy, że dzięki temu Ousmane strzelił swojego pierwszego gola w tym sezonie – mówił Nik Prelec po końcowym gwizdku.

- Ściągając go, wiedzieliśmy, jaki ma profil. Zresztą on sam, co wynika z moich z nim rozmów, ma przeświadczenie, że powinien być bardziej egoistyczny – zdradzał po spotkaniu w Częstochowie Adrian Siemieniec, pytany o Słoweńca. Nie robił jednak problemu z jego „koleżeństwa". - To prawdziwy team player, doceniam jego drużynowość - dodawał. - A dobro wraca do niego, pojawiają mu się liczby przy nazwisku!

Bałkański napastnik kibiców Dumy Podlasia „kupił" już też może najważniejszym trafieniem tej jesieni, czyli golem w Glasgow, dającym Jadze awans do fazy play off Ligi Europy. Coraz częściej – jak przy opisywanej bramce pod Jasną Górą – gra na pamięć z partnerami. - Automatyzmy wypracowujemy na treningach, bardzo przydają się na meczach – podkreśla Prelec.

W Częstochowie już w przerwie występ zakończył Jesus Imaz. Anders Klynge cały mecz przesiedział na ławie, w ogóle nie było w kadrze Jeremy'ego Agbonifo. Niewykluczone jednak, że cała trójka będzie przy Bułgarskiej do dyspozycji Siemieńca.

(DaL)

Sport 62faaaedab

Należycie, choć ze skazą

Mimo pewnych obaw Niebiescy zrobili w Zielonej Górze to, czego się od nich wymagało, choć... nie wszyscy zmiennicy dobrze zapamiętają ten mecz.

Nieco zmienioną – ale wciąż bliską określenia „pierwsza" – jedenastkę wystawił na pucharowy mecz w Zielonej Górze trener Waldemar Fornalik. Urazy wykluczyły rezerwowych w tym sezonie Jakuba Bieleckiego i Krystiana Wachowiaka, a niegotowy do gry był jeszcze sobotni transfer, Teddy Sutherland. Ruch rozstrzygnął spotkanie z Lechią w pierwszej połowie, a w drugiej kontrolował boiskowe wydarzenia i właściwie na nic nie pozwolił drugoligowcowi.

Fot. Gleb Sobolev/Press Focus

Krystian Rostek w pojedynkę mógł rozstrzelać wczoraj Lechię.

Sytuacji w bród

Najciekawsze było pierwszych 20 minut. Obie drużyny miały kilka dogodnych sytuacji, wręcz „setek", choć lepiej wyglądał w tym aspekcie Ruch. Kacper Laskowski trafił w słupek, Krystian Rostek zmarnował wyśmienitą okazję, bo odskoczyła mu piłka, a Daniel Szczepan po dobrym dryblingu uderzył za słabo. Gospodarze mieli kapitalną okazję Kamila Olka i groźny strzał po okiwaniu trzech rywali autorstwa Michała Szmigla. Nic z tego jednak nie wpadło do siatki... choć było już 1:0. Ruch objął bowiem prowadzenie już w 3 minucie za sprawą główki zupełnie niekrytego Aleksandra Komora. Przyjezdni podkręcili tempo przed przerwą i choć Rostek strzelił w słupek, to ciut wcześniej, strzelając precyzyjnie przy słupku, podwyższył Michał Chrapek.

Puszczały emocje

Niebiescy wypracowali sobie dobrą zaliczkę, ale mieli też problem – z powodu kontuzji boisko opuścił w 35 minucie Szczepan. Lechia w drugiej połowie nie była już tak groźna, jak w pierwszym kwadransie i nie dawało się odnieść wrażenia, że Chorzowianom coś w Zielonej Górze grozi. Pod koniec pojawiły się jednak emocje, bo... piłkarzom zaczęły puszczać nerwy. Jakub Bursztyn popchnął prowokującego Rostka i obejrzał żółtą kartkę, choć sztab Ruchu głośno domagał się czerwonej. Podobnie było chwilę później w przypadku Marcina Szpakowskiego, który ostrym wślizgiem przejechał się po nogach Rostka. Z boiska jednak wyleciał... sam Rostek.

Nerwy Fornalika

Za wspomniane „kozaczenie" przy Bursztynie obejrzał pierwsze „żółtko", a chwilę później – już w czasie doliczonym – drugie, gdy w idiotyczny sposób zatrzymał ręką podanie rywala. Po reakcji 18-latka od razu było widać, że ma świadomość, jakiej głupoty się dopuścił. Mając też na uwadze 3-4 kapitalne sytuacje, które zmarnował (pod koniec straszne nerwy miał na niego trener Fornalik), raczej nie należy się spodziewać, aby prędko wrócił do wyjściowej jedenastki...

Ruch wygrał absolutnie zasłużenie, ale po raz kolejny szwankowała jego skuteczność.

Piotr Tubacki

Lechia Zielona Góra – Ruch Chorzów 0:2 (0:2)
0:1 – Komor, 3 min (głową), 0:2 – Chrapek, 41 min
LECHIA: Bursztyn – Flis, Ostrowski, Embalo – Zientarski (83. Kurek), Szpakowski, Nahrebecki, Szmigiel – Więcek (61. Lisowski), Olek (61. Dębski), Bargiel. Trener Sebastian MORDAL.
RUCH: Wrąbel – Konczkowski, Leśniak-Paduch, Komor, del Moral – Rosół, Kristan – Rostek, Chrapek (65. Nagamatsu), Laskowski (65. Szwedzik) – Szczepan (35. Pawłowski). Trener Waldemar FORNALIK.
Sędziował Aleksander Borowiak (Poznań). **Widzów** 999. **Żółte kartki**: Nahrebecki, Bursztyn, Szpakowski – del Moral, Szwedzik, Rostek (x2); **czerwona** - Rostek (90+3. dwie żółte).

Puścił Bąka i wygrał!

Jacek Zieliński miał nosa do zmian: dwaj młodzi rezerwowi błyskawicznie zmajstrowali zwycięskiego gola.

Ponad dwa tygodnie temu Widzew mierzył się z Koroną w lidze i przegrał u siebie 1:2. Łodzianie liczyli, że w środowy wieczór karta się odwróci i uda im się zrehabilitować za tamtą porażkę, ale i za wpadkę z Lechem w minioną niedzielę (2:3).

W sierpniowym starciu katem drużyny z Łodzi był Morgan Fassbender, który zdobył dwa gole. Niemiec pucharową rywalizację mógł rozpocząć równie dobrze, ale Steve Kapuadi wyręczył bramkarza i uratował swój zespół. Scyzoryki lepiej wyglądały na początku spotkania, szukały szybkiego gola, ale z czasem do głosu dochodzili gospodarze. Bliski szczęścia był Sebastian Bergier, który z niewielkiej odległości trafił w słupek. Identycznie pod koniec pierwszej części zakończyła się akcja Stipe Biuka. Z dystansu próbował z kolei Emil Kornvig, ale Rafał Mamla był na posterunku.

W drugą połowę lepiej weszli Łodzianie. Z dystansu próbował Bergier, a interwencja Mamli nie była zbyt pewna, ale z dobrym efektem. Kilka minut później do rzutu wolnego podszedł Karol Świderski, ale minimalnie się pomylił.

Konkret przyszedł ze strony Korony. Będący na boisku od niespełna 120 sekund Konrad Ciszek dobrze wrzucił w pole karne, a tam również wprowadzony chwilę wcześniej Daniel Bąk głową wpakował piłkę do siatki. Młodzi dali radę – asystent ma 18 lat, a strzelec gola jest dwa lata starszy. Trzeba przyznać, że trener Jacek Zieliński czuł pismo nosem i dokonał świetnych roszad!

Dla Korony to już siódme zwycięstwo z rzędu nad Widzewem. Nad trenerem Aleksandarem Vukoviciem pojawiają się ciemne chmury...

Miłosz Cebo

Widzew Łódź – Korona Kielce 0:1 (0:0)
0:1 – Bąk, 73 min
WIDZEW: Ilić – Krajewski, Wiśniewski, Kapuadi, Garcia – Biuk (64. Świderski), Alvarez, Selahi (64. Papanikolaou), Kornvig (80. Males), Fornalczyk – Bergier. Trener Aleksandar VUKOVIĆ.
KORONA: Mamla – Barczak, Rubezić, Mosór, Pięczek (71. Matuszewski) – Jakubczyk, Remacle (60. Lingr), Hellebrand – Davidović (71. Ciszek), Stępiński (71. Bąk), Fassbender (81. Sotiriou). Trener Jacek ZIELIŃSKI.
Sędziował Patryk Gryckiewicz (Toruń). **Widzów** 15578. **Żółta kartka** - Papanikolaou.

PUCHAR POLSKI - WYNIKI

I runda

- **Wikęd Luzino - Wisła Płock 2:3 (0:2)**: Ziętarski (64. karny), Przemysław Kostuch (90. karny) - Kościelecki (6), Sekulski (44), Pomorski (60)
- **Beskid Andrychów - Śląsk II Wrocław 1:3 (1:1)**: Szkitun (2. karny) - Stangret (13, 52), Muszyński (89)
- **Górnik Polkowice - Polonia Warszawa 0:1 (0:0)**: Dadok (85)
- **Górnik Łęczna - Stal Mielec 3:3 (1:0, 2:2, 2:2) k. 4:3**: Ahmedow (21, 110), Myszor (54) - Odolak (90+1), Niedźwiedź (90+2), Musiolik (111)
- **Znicz Pruszków - Cracovia 1:1 (0:0, 1:1, 1:1) k. 4:3**: Proczek (90+5. karny) – Hasić (80)
- **Sokół Ostróda - Sokół Kleczew 1:2 (1:1)**: Nowicki (11. karny) – Zimmer (30), Adamski (78)
- **Resovia - Arka Gdynia 0:4 (0:1):** Rama (3, 54), Kowalski (48), Demirović (80)

czwartek, 3.09.

Avia Świdnik - Wieczysta Kraków	14.30
GKS Tychy - ŁKS Łódź	17.30
Śląsk Wrocław - Pogoń Szczecin	20.30

wtorek, 15.09.

Widzew II Łódź - Polonia Bytom	15.00

Awans uratowany na linii

Do ostatnich chwil Chrobry drżał o awans, ale czujny Jakub Grić zachował trzeźwość umysłu w defensywie.

Na dolnośląskie derby trenerzy obu ekip zdecydowali się na rewolucję w pierwszych składach. Mimo wielu zmian gospodarze błyskawicznie ruszyli do ataku, jakby byli doskonale zgranym kolektywem. Zawiodły ich jednak umiejętności indywidualne. W 7. minucie doskonałą okazję miał Mateusz Bochnak, do którego trafiła piłka po interwencji Krzysztofa Wróblewskiego. 28-latek miał przed sobą tylko pustą bramkę, ale uderzył nad poprzeczką. Chrobry był w szoku i kilkadziesiąt sekund później znów sprowadził zagrożenie pod własną bramkę, ale tym razem zbyt wysoko piłkę posłał Wojciech Hajda.

Połów Rybaka

Te dwa sygnały ostrzegawcze obudziły przyjezdnych. Głogowianie ruszyli do ataku, a najbardziej aktywny był Alan Rybak, wypożyczony z Jagiellonii. W 13. minucie rajdem sprowokował defensywę Miedzi do faulu, dzięki czemu wywalczył rzut karny. Do piłki ustawionej na „wapnie" podszedł Agon Sadiku, dla którego była to okazja na pierwszego gola w barwach Chrobrego. Fiński napastnik trafił jednak w słupek!

Festiwal niecelnych uderzeń przerwał Rybak. Zszedł z piłką ze skrzydła do środka i oddał precyzyjny strzał przy słupku. Stojący między słupkami bramki Legniczan Dmytro Sydorenko nie miał szans na skuteczną interwencję.

Drugi bramkarz

Pomimo niekorzystnego rezultatu, po przerwie Miedź długo nie potrafiła stworzyć zagrożenia pod bramką Wróblewskiego. Dopiero w 78. minucie jej kibice podnieśli się z krzesełek. Asier Cordoba oddał bardzo dobry strzał z okolic 16. metra. Piłka minęła golkipera, ale doskonale ustawiony był Jakub Grić, który wybił piłkę głową niemal z linii bramkowej! Co więcej, w pierwszej minucie doliczonego czasu powtórzył swój wyczyn, tym razem po uderzeniu niepilnowanego Kamila Antonika. Słowak - w roli drugiego bramkarza? -znów uchronił Chrobrego przed utratą gola i poprowadził drużynę do awansu. Miedź zaś już w sobotę będzie miała okazję do rewanżu, gdy podejmie Chrobrego tym razem w ramach zmagań w 1. lidze.

Kacper Janoszka

Miedź Legnica – Chrobry Głogów 0:1 (0:1)
0:1 – Rybak, 21 min
MIEDŹ: Sydorenko – Szymoniak (58. Cordoba), Jovicić (82. Mazur), Noiszewski (67. Grudziński), Norlin – Bochnak, Hajda (58. Petrović), Korczakowski, Antonik – Fucak, Mansfeld (67. Stanclik). Trener Janusz NIEDŹWIEDŹ.
CHROBRY: Wróblewski – Tabiś (46. Lis), Grić, Czajka, Feratović – Bąk, Bukowski (66. Grzelak) – Rybak (70. Simkow), Staszak (66. Ibe-Torti), Ozimek – Sadiku (61. Strózik). Trener Łukasz BECELLA.
Sędziował Paweł Malec (Łódź). **Widzów** 3151. **Żółte kartki**: Szymoniak, Norlin, Jovicić - Bąk, Grzelak.

KRÓTKA PIŁKA

TWENTE WZIĘTE!

■ Michał Rosiak na zasadzie transferu definitywnego przeszedł ze Śląska Wrocław do holenderskiego Twente Enschede (8. miejsce po trzech kolejkach eredivisie). Podpisał z nim kontrakt do połowy 2030 z opcją przedłużenia o rok. 20-letni obrońca w tym sezonie rozegrał sześć spotkań ekstraklasowych w barwach wrocławskiego beniaminka.

BRNIE W BRNO

■ Dominik Sarapata, latem 2025 sprzedany przez Górnika do FC Kopenhaga, nie zadebiutował jeszcze w lidze duńskiej. I nie uczyni tego także w tej rundzie. Po wiośnie, którą na wypożyczeniu spędził w Wiśle Płock, jesienią reprezentować będzie barwy czeskiego ekstraklasowego Artisu Brno (13. miejsce po sześciu kolejkach).

Sport 62faaaedab

Bramka Podolskiego!

W nagrodę za zdobycie Pucharu Polski na szczeblu Śląskiego ZPN (triumf wart 50 tys. zł), Górnik... skasował swoje trzecioligowe rezerwy. W tej sytuacji w I rundzie rozgrywek krajowych zagrał zespół z Centralnej Ligi Juniorów U19. Kiedy po niespełna 20 minutach rywalizacji na Arenie Zabrze przegrywał po dwóch karnych 0:2 wydawało się, że może paść wysoki wynik. Tak się jednak nie stało, a do końca w rywalizacji z drugoligowcem pachniało niespodzianką. Kontaktową bramkę strzelił 18-letni Louis Podolski, syn właściciela Górnika. Z 20 metrów kropnął jak tata, tyle że nie lewą, a prawą nogą. Zabrzanie decydującego gola stracili w... ostatniej minucie!

(zich)

■ **Górnik II Zabrze - Olimpia Grudziądz 3:4 (1:2)**
0:1 – Wichtowski, 13 min (karny), 0:2 – Cichoń, 19 min (karny), 1:2 – Podolski, 24 min, 2:2 – Pietrzak, 53 min (karny), 2:3 – Szafranek, 68 min (głową), 3:3 – Posmyk, 83 min, 3:4 – Jarzec, 90 min
GÓRNIK II: Kania - Kowalik, Dudek, Górniak, Griksa - Sieracki (79. Kocot), Pietrzyk (61. Przetak), Mikołajczyk (46. Posmyk), Podolski (79. Albert), Świerkowski (90. Papierniak) - Nolewajka. Trener Marek MAZUREK.
OLIMPIA: Jerke - Jarzec, Wichtowski, Zbiciak (46. Stolc), Ciupa - Nowacki (46. Jastrzembski), Michalski (46. Olejarka), Fietz, Cichoń (79. Bałdyga), Wilak (63. Brzęk) - Szafranek. Trener Dawid PĘDZIAŁEK.
Sędziował Hubert Zięba (Kielce). **Widzów** 500. **Żółte kartki**: Kowalik, Griksa, Górniak - Ciupa, Szafranek.

120 tysięcy? Mało!

Śląsk jeszcze nie ma pewności, czy jego gwiazdor zdecyduje się na przedłużenie kontraktu.

W czwartek na teren Śląska zawita Pogoń Szczecin. Już w pierwszej rundzie Pucharu Polski los połączył ze sobą dwa ekstraklasowe zespoły. W teorii będzie to jeden z najciekawszych meczów tej fazy zmagań, ale we Wrocławiu niewielu skupia się na tym spotkaniu. Najważniejsza aktualnie jest kwestia kontraktu Piotra Samca-Talara. Gwiazdorowi drużyny obecna umowa wygasa po zakończeniu bieżącego sezonu. Jeżeli nie podpisze nowego kontraktu, oznaczać to będzie, że już w styczniu będzie mógł związać się z nowym klubem (ofert nie brakuje), a Śląsk nic z tego mieć nie będzie.

Czekali zbyt długo

Kulisy sprawy przedstawiła Gazeta Wrocławska. Klub i piłkarz już przed sezonem mieli dojść do porozumienia w sprawie nowego kontraktu. Według dziennika zarząd klubu zbyt długo czekał jednak na przedstawienie uzgodnionych warunków Radzie Nadzorczej. Gdy w końcu zdecydowano się wykonać ten krok, Rada Nadzorcza szybko zaakceptowała propozycję kontraktową, ale... zmieniły się okoliczności.

Przed sezonem Samiec-Talar był liderem zespołu, który był świeżo po awansie do ekstraklasy. Po paru kolejkach bieżących rozgrywek 24-latek stał się nie tylko liderem beniaminka, ale jednym z najlepszych zawodników w lidze – zdobył trzy bramki i zaliczył trzy asysty. To oznaczało, że zaoferowany mu przed sezonem kontrakt, który miał gwarantować mu 120 tysięcy złotych miesięcznie, już jest... niewystarczający. Samiec-Talar zaczął otrzymywać ciekawsze oferty z innych klubów i ponoć przestał być zainteresowany podpisaniem umowy na ustalonych wcześniej warunkach. Prezes Remigiusz Jezierski powiedział Gazecie Wrocławskiej, że trwa proces renegocjacji warunków. Czy obie strony dojdą do porozumienia? Skoro niewidoczny był pośpiech w próbie podpisania kontraktu na pierwotnych zasadach, zapewne i w tym przypadku będziemy musieli chwilę poczekać na wieści ze stolicy Dolnego Śląska.

Bez zmartwień

Na barkach Samca-Talara od początku sezonu spoczywa ogromna odpowiedzialność za działania ofensywne drużyny. Wkrótce odciążyć może go Karol Linetty, 47-krotny reprezentant Polski, który w tę niedzielę podpisał kontrakt ze Śląskiem. Trener Ante Simundza na starcie z Portowcami wpisał go już do kadry meczowej. Słoweński szkoleniowiec nie ma większych zmartwień, bo każdy z jego podopiecznych jest gotowy do gry. Nawet Jegor Macenko, u którego istniało ryzyko kontuzji, w standardowym trybie przygotowywał się do rywalizacji ze Szczecinianami.

Kacper Janoszka

Fot. Weronika Moroziszek/PressFocus
Piotr Samiec-Talar ze Śląskiem związany jest od dziecka.

Publiczne pranie brudów

Elżbieta Filipiak przerwała milczenie i wywołała nową burzę wokół klubu. Zasygnalizowała, że jest gotowa go odkupić.

Publiczne pranie brudów
Styczeń 2026, nowy zarząd Cracovii tuż po powołaniu. Dziś został w nim jedynie Murat Colak (z prawej) - jako prezes.

CRACOVIA

Mniejszościowa akcjonariuszka grzmi o paraliżu prawnym. Cracovia mówi „wszystko jest w porządku" i straszy sądem, jeżeli Elżbieta Filipiak nie sprostuje swoich słów. Kibice są zdezorientowani, bo większość nie zna się na aspektach prawnych. Wielu straciło zaufanie do Filipiak, która jest obwiniana za sprzedaż klubu Robertowi Platkowi bez due diligence, czyli szczegółowego prześwietlenia inwestora.

Filipiak: Środki tylko do końca roku

Zamieszanie wokół krakowskiego klubu weszło w kolejną fazę. Mniejszościowa akcjonariuszka w wywiadzie dla Canal+ Sport przedstawiła obraz niesprawnej organizacji, zarzucając spółce głęboki chaos prawny, brak organów decyzyjnych i widmo kryzysu finansowego. W programie „Ekstraklasa po godzinach" Filipiak odpaliła granat, przekazując, że po odejściu wiceprezesa Davida Amdurera i rezygnacji Agaty Kowalskiej z członkostwa w radzie nadzorczej, kluczowe struktury zostały pozbawione umocowania prawnego.

Według niej kadencja rady nadzorczej wygasła z mocy prawa wraz z odbyciem walnego zgromadzenia akcjonariuszy 8 lipca 2026 roku, na którym nie uzupełniono jej składu. Zakwestionowała również status szefa zarządu, nazywając go „samozwańczym prezesem". Wdowa po dobrodzieju klubu, prof. Januszu Filipiaku, twierdzi, że z powodu braku reakcji większościowego akcjonariusza na wniosek o zwołanie walnego zgromadzenia, została zmuszona wystąpić o wyznaczenie dla spółki kuratora sądowego. Podała w wątpliwość także płynność finansową Cracovii - przypominając o 9 mln zł straty za poprzedni rok i wyprzedaży zawodników, która ma zapewnić środki jedynie do końca roku. Wystąpienie zwieńczyła apelem do większościowego akcjonariusza, Roberta Platka, o rozważenie sprzedaży akcji i deklaracją chęci ponownego przejęcia kontroli nad pięciokrotnym mistrzem kraju.

Platek: Nie rozważam sprzedaży

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. W opublikowanym oświadczeniu władze spółki kategorycznie zaprzeczyły zarzutom dotyczącym prawnych i finansowych problemów. Podkreśliły, że przedstawiona w mediach narracja wprowadza opinię publiczną w błąd i godzi w dobre imię klubu oraz większościowego udziałowca. Cracovia zapewnia, że rada nadzorcza działa w pełni legalnie, gdyż po rezygnacjach z marca 2026 roku powołano nowy skład na nową kadencję, która trwa.

Dodatkowo przypomniano, że Filipiak w czasie zgromadzeń nie zgłaszała zastrzeżeń. Obalono również zarzut dotyczący braku prezesa - 21 sierpnia 2026 sąd rejestrowy dokonał wpisu Murata Colaka, a obecnie trwają procedury powołania kolejnego członka zarządu, w związku z rezygnacją wiceprezesa Davida Amdurera. Klub odniósł się też do wniosku o zwołanie walnego zgromadzenia, ujawniając, że pismo wpłynęło dopiero 27 sierpnia i jest w trakcie analizy. Sytuację finansową spółki określono jako stabilną, co mają potwierdzać transfery do klubu. Jednocześnie ucięto spekulacje właścicielskie: Robert Platek stanowczo wyklucza sprzedaż akcji na rzecz Filipiak.

Stawowy: Tendencja zniżkowa w zarządzaniu

Publicznym praniem brudów martwi się trener Wojciech Stawowy, który dwukrotnie wprowadzał Pasy do ekstraklasy. – Nie powinno się w ten sposób na zewnątrz dyskutować o problemach organizacji, jeżeli dotyka to spraw bardzo wrażliwych, które mogą niepokoić środowisko – uważa popularny „Wąs". – Zauważyłem, że od pewnego czasu jest tendencja zniżkowa w sposobie zarządzania Cracovią. To się przenosi na wynik sportowy i atmosferę wokół klubu. To, co się obecnie dzieje, nie pomaga. Wszyscy związani z Cracovią przyglądamy się temu z dużą troską – podkreśla Stawowy. Szkoleniowiec uważa, że drażliwe sprawy powinno się załatwiać w zaciszu gabinetów. On nie dystansuje się od Cracovii. Czuje, że to jego klub, ale rzadko bywa na meczach, ponieważ mieszka poza Krakowem.

Michał Knura

Sport 62faaaedab

Nie posądzam nikogo, że się V

Rozmowa z **Adamem Lyczmańskim,** byłym arbitrem ligowym, laureatem „Kryształowego gwizdka" naszej redakcji, dziś ekspertem Canal+ Sport od spraw sędziowskich

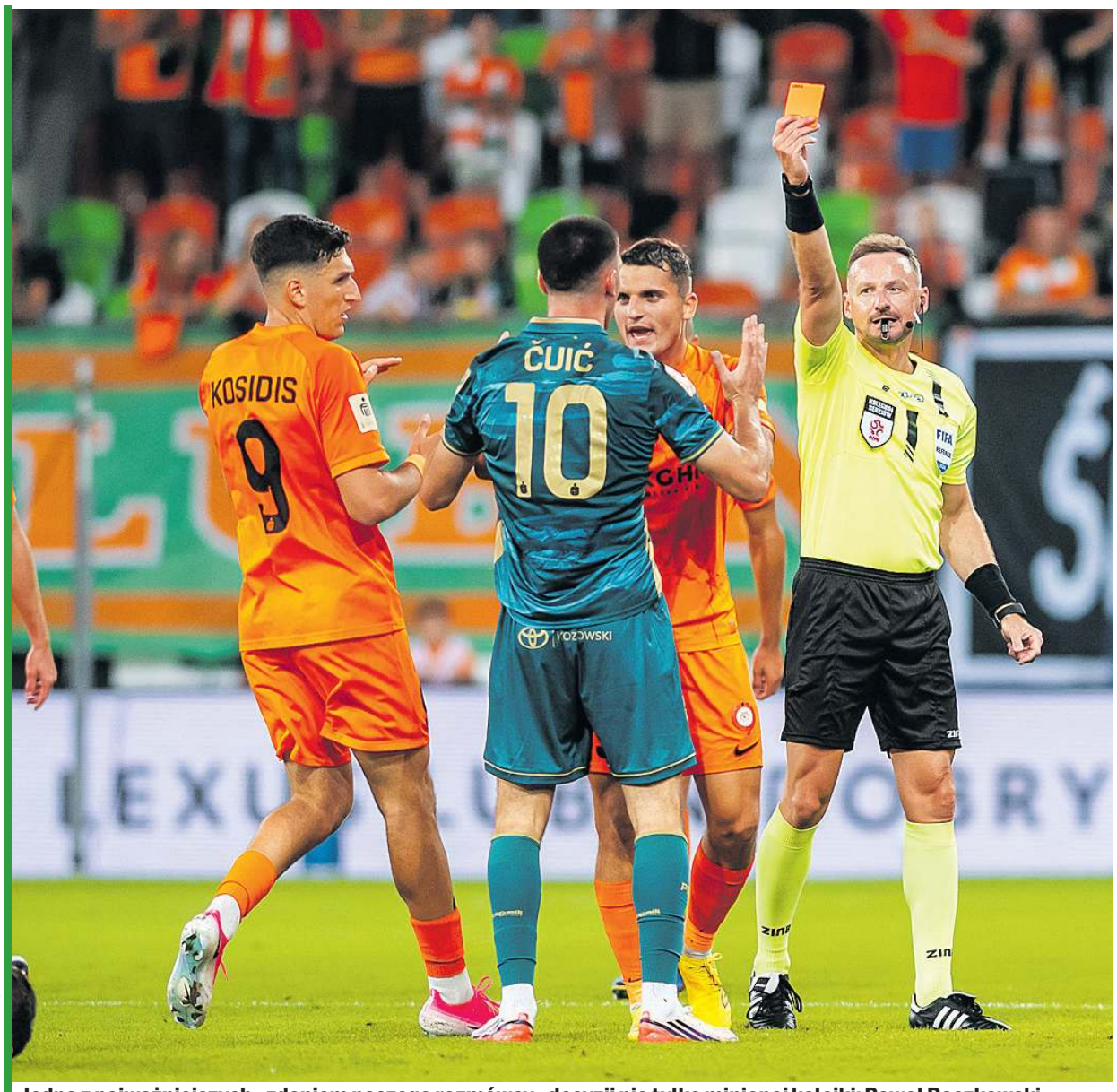

Fot. Gleb Sobolev/Press Focus

Jedna z najważniejszych - zdaniem naszego rozmówcy - decyzji nie tylko minionej kolejki: Paweł Raczkowski wyrzuca z boiska Filipa Cuicia. Bez pomocy VAR-u.

Czy Adam Lyczmański, biegając dziś z gwizdkiem po murawie, cieszyłby się z obecności VAR-u?

- Zacznę anegdotką. Ostatnią Ligę + Extra, której gościem był Michał Janota, rozpoczęto klipem z meczu sprzed ponad 10 lat, z meczu Pogoni z Legią. Janota wszedł wówczas na boisko w 87. minucie, a w 90. minucie otrzymał ode mnie czerwoną kartkę. Pokazałem ją bezpośrednio z boiska, nie mając VAR-u do pomocy... A teraz serio. Nie jestem człowiekiem, który powie, że nigdy się nie pomylił. Błędy popełniałem i nie wstydzę się o tym mówić. Na szkoleniach, które prowadzę dla młodych sędziów, pokazuję te sytuacje, w których się myliłem – bo wiem skąd się dany błąd wziął. Z tego punktu widzenia VAR zapewne przydałby mi się w niektórych sytuacjach. Natomiast pewne rzeczy trzeba nazwać po imieniu: dziś niektóre kwestie z użyciem VAR-u to po prostu jedno wielkie kuriozum i nie powinny mieć miejsca. Zdarzają się sytuacje, kiedy VAR jest potrzebny sędziemu, a go nie ma. I przeciwnie: wychyla się wtedy, gdy nie trzeba. Mieliśmy już troszkę takich momentów w tym sezonie. I nie tylko w tym, bo ja od pięciu lat takie statystyki prowadzę.

A czy Adam Lyczmański – jako sędzia – siadałby dziś przed ekranem w niedzielny wieczór i oglądał jakiegoś „innego Lyczmańskiego", punktującego jego błędy na zasadzie – proszę wybaczyć... - „show must go on"?

- Tak. Zawsze siadałem, kiedy w roli „innego Lyczmańskiego" pojawiał się najpierw pan Wit Żelazko, a potem Sławek Stępniewski. Zawsze czekało się na ten program, oglądając go pod kątem kontrowersji! Natomiast co do określenia „show must go on": wielu osobom może się nie podobać, że ja mówię jak jest. Natomiast ja nie kalkuluję, kto sędziuje dany mecz z kontrowersyjną sytuacją. Czy jest to Szymon Marciniak, Tomasz Kwiatkowski, Paweł Raczkowski, czy młody Mateusz Piszczelok albo Mateusz Jenda - dla mnie nie ma znaczenia. Dla mnie to sędzia, którego pracę trzeba omówić. Ja nie oceniam człowieka; ja oceniam decyzje tego człowieka. Nigdy nie powiedziałem, że ktoś jest słaby czy ktoś się nie nadaje, i nigdy z moich ust to nie padnie. To nie jest ocena powodowana myślą „show must go on," to ocena merytoryczna konkretnej decyzji. Nie mogę powiedzieć, że białe jest czarne i odwrotnie. Chcąc być wiarygodnym dla oglądających – mówię o zwykłych „fotelowych" kibicach, którzy w kapciach śledzą mecze - muszę stwierdzać, jak jest i mieć zawsze jedną linię interpretacyjną.

Wit Żelazko, Sławomir Stępniewski... Ile razy się pan nie zgadzał z ich werdyktami i wkurzał się pan, że mają milionową widownię, a pan w tym momencie nie jest w stanie im odpowiedzieć?

- Nie kojarzę takich sytuacji, bym się irytował. Sędzia zazwyczaj wie, kiedy się pomylił i co najwyżej mogłem się zastanawiać, czy tę moją sytuację pokażą, czy nie. Ale jak już pokazali i powiedzieli, jak było, a jak być powinno, nigdy się nie obrażałem. Mogłem się nie zgodzić z jakąś interpretacją, ale ja nie jestem człowiekiem, który lubi się kłócić. Taka jest moja natura, do dziś nie mam konta na X, nie dyskutuję w mediach społecznościowych. Za to starałem się jako sędzia – i staram się do dziś – zrozumieć, skąd się biorą błędy. I wie pan, że obecnie czasem nie jestem w stanie tego zrobić? Weźmy mecz Śląska z Widzewem. Gdyby zapytał pan o faul na zawodniku Widzewa swoją żonę, przygotowującą panu kanapkę na kolację, odwróciłaby głowę do telewizora i po dwóch sekundach powiedziałaby, że należał się rzut karny. Więc mówię o tym głośno. A jeśli ktoś miałby się z tego powodu obrażać, to jest to problem tego „ktosia". Tylko przez pierwszy rok pracy w TV się przejmowałem, co o mnie mówią - „bo to koledzy przecież". Dziś im życzę, żeby sędziowali tak jak większość – poza jednym - meczów w minionej kolejce, i żeby nie było o czym mówić.

Nie oceniam człowieka; ja oceniam decyzje tego człowieka. Nigdy nie powiedziałem, że ktoś jest słaby czy ktoś się nie nadaje, i nigdy z moich ust to nie padnie. To nie jest ocena powodowana myślą „show must go on," to ocena merytoryczna konkretnej decyzji. Nie mogę powiedzieć, że białe jest czarne i odwrotnie.

Używając pojęcia „show must go on" zmierzałem do tego, że nawet ci, którzy omawiają pracę arbitrów – a prócz pana robi to na przykład inny były sędzia, Rafał Rostkowski – miewają krańcowo odmienne zdania

- Każdy ma dzisiaj prawo powiedzieć, co myśli, trzeba to uszanować. Natomiast powtórzę jeszcze raz: ja nie robię tego po to, by tworzyć show. Stąd często slajdy z przepisów, którymi podpieram klip, żeby to nie była tylko jałowa analiza słowna. Wtedy jestem wiarygodny, widz zaś może sobie wyrobić własne zdanie na dany temat. A dyskusje zawsze będą, bo u nas co człowiek, to teoria.

Wracam do oczywistych błędów, dostrzegalnych przy robieniu kanapki. Skoro VAR już działa tyle lat, to skąd rozbieżności w interpretacjach i to, co nazywamy błędami?

- No właśnie w niektórych sytuacjach nie jestem w stanie tego powiedzieć! Dygresja: koniec mojej kariery sędziowskiej podparty był argumentem kontuzji. Ale to było dla mnie tylko alibi; miałem już dosyć, bo pewne osoby po prostu obrzydziły mi sędziowanie. Jednak gdybym miał wtedy VAR do dyspozycji, pewnie bym sędziował do dzisiaj, bo jestem młodszy od wielu arbitrów dziś prowadzących mecze na poziomie ekstraklasy. VAR to jest doskonała pomoc, tylko należy z niej dobrze korzystać. Ona ma korygować błędy oczywiste, czarno-białe, a nie zamieniać kontrowersję w kontrowersję. Przykłady? Mecz dwóch Wiseł i przerwanie realnej szansy na zdobycie bramki. „Winowajca" dostaje kartkę żółtą bez korekty VAR-u. Za chwilę zaś w meczu Górnik – Wisła Kraków sędzia w identycznej sytuacji pokazuje prawidłowo kartkę żółtą i... jest wołany do monitora, by rozważyć kartkę czerwoną. Na szczęście podtrzymuje swoją pierwotną decyzję. Dwie sytuacje z tego samego zakresu do oceny i dwie różne interpretacje sędziów VAR-owych! A zatem kluczem do sukcesu jest umiejętne korzystanie z dzisiejszych możliwości; nie na zasadzie „będę się bawił VAR-em". Nie posądzam nikogo, że się tym VAR-em bawi, ale niektórych interwencji – lub ich braku – nie potrafię zrozumieć.

Gra jest coraz szybsza, więc i VAR ma coraz krótszy czas na reakcję. Czy może się zdarzyć, że zwyczajnie przeoczy taką sytuację, jak słynne „sanki" Paulinho w meczu z Koroną czy ostatnio pokazywane przez pana „wymierzenie sprawiedliwości" przez Fornalczyka graczowi Lecha?

- Nie potrafię zrozumieć, dlaczego w tych sytuacjach nie było czerwonych kartek. Dlatego – na zasadzie kontry - celowo pokazałem sytuację z czerwoną kartką Cuicia w meczu Zagłębie – Pogoń. To była świetna decyzja świetnie sędziującego w tym sezonie Pawła Raczkowskiego. W tamtych przypadkach nie zareagował ani sędzia główny, ani VAR. A my siedzimy przed ekranem patrzymy na siebie i pytamy „o co kaman?".

Ostatnio podkreślił pan w jednym z wywiadów ogromną rolę „operatora VAR-u". Któż to taki?

- Ktoś, kto obsługuje technicznie system. Dostaje dyspozycję od sędziego VAR: „Pokaż mi daną sytuację". Dobry operator jest na wagę złota: robi to szybko i sprawnie, czuje doskonale, jakie ujęcie

Sport 62faaaedab

AR-em bawi

pokazać, z jakiej kamery, w jakim tempie. A czasem właśnie tylko to jedno – za to trafnie pokazane - ujęcie wpływa na decyzję. Na sędziów VAR sypią się gromy, choćby za długość przerw, jaki powoduje ich interwencja. Ale to kwestia techniczna. Może właśnie ten operator się zapętlił, ma problem z pokazaniem całej sytuacji? Przez wiele lat na wozach VAR pracowali doświadczeni operatorzy. Teraz, kiedy uruchomiono centrum w Warszawie, pojawiło się w tym gronie wielu nowych ludzi. W tym m.in. spora grupa byłych arbitrów. Wybrani zostali nie przez Kolegium Sędziów, ale przez PZPN. I – jak słyszę od części środowiska sędziowskiego - jest problem, bo to czasami ludzie niedoświadczeni w pracy z VAR.

Jeszcze jeden aspekt techniczny: mówił pan w niedawnym wywiadzie w Interii o wadze „kamer GLT". Proszę „kibicowi w kapciach" wyjaśnić, czemu mają one takie znaczenie?

- To kamery z systemu „goal line technology", ułatwiające rysowanie linii spalonego. Dają optymalne ujęcie, bo kamera z „szesnastki" nie zawsze była wiarygodna przy sytuacjach z okolic pola bramkowego. Czasem widać było gołym okiem, że wyrysowane na jej podstawie linie są źle zrobione, więc trzeba się cieszyć, że te kamery GLT już są.

Czyli nie można już, co się zdarzało na początku sezonu, tej linii źle wyrysować?

- Nie można. Tym bardziej szkoda, że funkcjonują dopiero od 4. kolejki, bo akurat sytuacji stykowych w przypadku spalonych od początku sezonu mamy całe mnóstwo.

W tym samym wywiadzie sugerował pan „uderzenie pięścią w stół" przez zarządzających środowiskiem sędziowskim. Rozwinie pan tę myśl?

- Pamiętajmy, że Kolegium Sędziów nie ma autonomii od władz PZPN i ja to postrzegam jako wadę. Ale i tak rolą jego przewodniczącego jest – jeśli mamy problem, jak z brakiem owych kamer u początku sezonu – pójść do prezesa związku i powiedzieć: „Jeśli ma być lepiej, nie oszczędzajmy na pewnych rzeczach. Potrzebuję tego, tego i tego". To po pierwsze. Po drugie – mam na myśli egzekwowanie konsekwencji wobec sędziów. Znowu będę kontrowersyjny. No na miłość Boską; mamy katastrofalny błąd sędziego w meczu Śląska z Widzewem, ale i tak za tydzień wyznaczamy go do pracy. Co z tego, że na mecz niższej ligi? On powinien pojechać na wczasy, zaszyć się, nie odbierać telefonu, zresetować głowę i wrócić po dwóch tygodniach! Nie jestem za tym, żeby karcić i zamykać, bo potem jest ciężko o tym zapomnieć. Ale jest liczna grupa młodych sędziów. Mają jeden mecz w najwyższych ligach na 3-4 tygodnie. I oni się z tych meczów naprawdę cieszą, dają serducho; kontrowersji z ich udziałem jest bardzo mało. Dajmy im więcej szans. Sam jestem ciekaw obsady na najbliższy weekend, która pojawi się w czwartek...

Sędziowie – również ci zawodowi – mają płacone dodatkowo za każdy prowadzony mecz?

- Tak

Więc takie „wysłanie na wakacje" to wymierna strata finansowa?

- Tak. Może również dlatego Adam Lyczmański mówi dziś o tym głośno, a sami sędziowie – nie. Bo się boją, że będą tydzień-dwa siedzieli „w poczekalni"...

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

Fot. Rafał Oleksiewicz/Press Focus

Adam Lyczmański jeszcze z czasów kariery sędziowskiej.

Będzie polskie trio

A jednak! – trzeba by dopowiedzieć. Oskar Wójcik, Dariusz Stalmach, ale również Dawid Kownacki będą tej jesieni w Werderze Brema.

NIEMCY

Było polskie trio w Borussii Dortmund, którego przypominać chyba nie trzeba. Było też w FC Koeln (Peszko, Matuszczyk, Olkowski), w Fortunie Duesseldorf (Bodzek, Kamiński, Kownacki, ale też Bodzek, Piotrowski, Kownacki), w Wolfsburgu (Białek, Kamiński, Grabara, by nie wspominać dawniejszego - Nowak, Kryger, Juskowiak), a nawet w Homburgu (Buncol, Wójcicki, Geszlecht). Teraz mamy polskie trio w Bremie.

Fot. Werder Brema

Dawid Kownacki (pierwszy z lewej) na razie zostaje na Weserstadion. Na zdjęciu w trakcie letniego sparingu z Bochum.

Chcą się go pozbyć

Stalmach wprowadził się do Werderu znakomicie, bo na inaugurację Bundesligi wszedł na boisko w przerwie i strzelił honorowego gola w przegranym meczu z Freiburgiem (1:4). Oskar Wójcik leczy kontuzję, ale jeśli dojdzie do zdrowia i odpowiedniej formy, nie jest przegrany w rywalizacji z duetem stoperów Friedl – Pieper (przede wszystkim ten drugi zdaje się być do „wygryzienia", bo Friedl to kapitan). Rzutem na taśmę okazało się też, że w zespole zostaje Kownacki – choć w klubie nie ukrywają, że chcieliby się go pozbyć. Trener Daniel Thioune, który zna „Kownasia" z Fortuny, nie widział go w składzie i wszystko wskazywało na to, że Polak – wracający z wypożyczenia do Herthy Berlin – odejdzie. Tym bardziej że zainteresowania nie brakowało, jego transfer rozważał nawet Lech. W większości lig europejskich okienko transferowe jednak zamknęło się, a Polak nadal jest w Bremie i – zdaniem Bilda – nigdzie się nie ruszy.

Największy pechowiec Bundesligi

Wciąż otwarte pozostają kierunki polski czy turecki, lecz Kownacki ma w Werderze całkiem niezły kontrakt i nie każdy klub jest w stanie sprostać jego wymaganiom finansowym. W obecnej sytuacji finansowej Bremeńczyków każda oszczędność jest dla nich na wagę złota, ale 29-latek podobno nie chce dokonywać transferu impulsywnego, ryzykownego. Niemcy są podobno „zaskoczeni i rozczarowani" takim obrotem spraw, ale muszą jakoś zagospodarować Polaka. Będzie o to tym łatwiej, że... Werder to jeden z największych pechowców Bundesligi.

Przy okazji szans na grę Stalmacha wspominaliśmy ostatnio, że tuż przed startem sezonu kontuzji doznał Jens Stage, najlepszy piłkarz drużyny, grający na tej samej pozycji co 20-latek z Tarnowskich Gór. Do gry ma być gotowy dopiero po Nowym Roku. Natomiast tuż przed zamknięciem okienka również wielomiesięcznej kontuzji doznał Justin Njinmah, ofensywny piłkarz pierwszego składu, z którym Kownacki... już kiedyś przegrał rywalizację, przez co zaczął tułać się po wypożyczeniach. Może dzięki temu Polak otrzyma swoją szansę i zacznie łapać się do kadry meczowej?

To będzie trudny sezon

Werder znajduje się w trudnym położeniu finansowym, więc nie może pozwolić sobie na to, by zesłać Kownackiego do „klubu kokosa". Bremeńczycy zarobili na transferach ponad 40 mln euro, ale wydali ok. 7 mln (w tym 3 mln na Wójcika) i nie za bardzo mogli wydać więcej. Na głowie mają różne kwestie infrastrukturalne, obligacje... Z 14 nowych piłkarzy sześciu przyszło „za darmo", a pięciu wypożyczono, z czego kilku - na szybko przed zamknięciem okienka. Werder czeka bardzo trudny sezon, więc polscy piłkarze będą mogli się pokazać.

Piotr Tubacki

Gorąco w Monaco

Niedawny pogromca Górnika namieszał w ostatnim dniu okienka transferowego, a przed nim starcie z wielkim PSG!

FRANCJA

Po nieudanym poprzednim sezonie, w którym Monaco zajęto odległe 7 miejsce i cudem uratowało europejskie puchary, w klubie doszło do zmian. Nowym trenerem został mający polskie korzenie Filipe Luis Kasmirski, który przez dwa lata odpowiadał za wyniki brazylijskiego Flamengo. W kadrze wszakże roszady były tylko kosmetyczne.

Drużyna z Księstwa dobrze rozpoczęła sezon. Dwukrotnie pokonała Górnika i zagra w fazie ligowej Ligi Konferencji, a jednocześnie zwyciężyła w dwóch kolejkach francuskiej Ligue 1. Zwłaszcza 2:0 w ostatnim meczu z Olympique Marsylia jest prestiżowe. Teraz Monaco zmierzyć ma się w jeszcze bardziej elektryzującym starciu z Paris Saint-Germain. Mistrzowie Francji wciąż czekają na pierwsze zwycięstwo na krajowym podwórku. Najpierw drużyna trenera Luisa Enrique przegrała z Lens w superpucharze 0:1, a następnie dwukrotnie zremisowała 2:2 w lidze, w obu przypadkach punkt zdobywając w końcówce spotkań. Zatem forma PSG jest wciąż do poprawy.

Monaco przystąpi do tej rywalizacji po niemałym zamieszaniu, które wywołało w ostatnim dniu okienka transferowego, 1 września. Ośmiokrotny mistrz Francji chciał podreperować swój budżet, żeby nie mieć problemów z Finansowym Fair Play. Do odejścia szykowało się dwóch zawodników, na których Monakijczycy zarobić mieli ponad 100 milionów euro. 22-letni Lamine Camara miał przejść do Chelsea, po tym jak The Blues sprzedali Enzo Fernandeza do Manchesteru City. Ostatecznie jednak francuski klub w ostatniej chwili wycofał się z transakcji i wywołał wściekłość w Londynie. I nikt nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego ten transfer nie doszedł do skutku!

Druga afera dotyczy... amerykańskiego aferzysty. Folarin Balogun, który był bohaterem skandalu podczas mistrzostw świata, miał przenieść się do Evertonu. Snajper wyraził chęć powrotu do Wielkiej Brytanii, ale gdy wyszły jego problemy podczas badań przed transferem, a klub z Liverpoolu chciał renegocjować warunki, 25-latek zrezygnował z przenosin. W efekcie w Monaco głowią się, jak znaleźć potrzebne pieniądze...

Czerwono-biali zacierają jednak ręce, że uda im się w niedalekiej przyszłości sprzedać za bardzo dobre pieniądze Parisa Brunnera. 20-latek strzelił w tym sezonie już cztery gole, a we Francji zaczynają na niego mówić „nowy Kylian Mbappe". Czy skończy podobnie jak obecna gwiazda Realu? Czas pokaże, ale jeszcze przed transferem do Monaco w zeszłym sezonie pytała o niego FC Barcelona.

Miłosz Cebo

LIGUE 1

PROGRAM 3. KOLEJKI

Czwartek: Toulouse – Lille (20.45); **piątek**: Lyon – Auxerre (19.00), PSG – Monaco (21.05); **sobota**: Lens – Lorient (17.15), Le Havre – Brest, Nicea – Le Mans (oba 20.45); **niedziela**: Troyes – Strasbourg (15.00), Angers – Rennes (17.15), Marsylia – Paris (20.45).

Sport 62faaaedab

Siedem „naj” na 70-lecie legendy

W sobotę uroczystości związane z 70-leciem Stadionu Śląskiego, w tym mecz legend Polska – Anglia. „Kocioł Czarownic” znowu ożyje! A my zapraszamy w podróż przez dekady.

Anglia ma Wembley, Włosi San Siro, Hiszpanie Estadio Santiago Bernabeu i Nou Camp, a my mamy Stadion Śląski. Na żadnym innym obiekcie sportowym nad Wisłą i Odrą nie odbyło się tyle ważnych imprez, miliony kibiców nie przeżywało tak wielkich emocji, jak na chorzowskim stadionie położonym w Parku Śląskim. Świętuje właśnie 70-lecie. Urodziny w sobotę przy okazji legendarnego meczu wielkich piłkarskich gwiazd Polski i Anglii z przeszłości. My przypominamy siedem NAJ na siedem dekad Mekki nie tylko polskiego sportu. Nasz dziennik od początku związany jest ze Stadionem Śląskim. I niech tak jest na kolejnych siedem dekad!

Michał Zichlarz

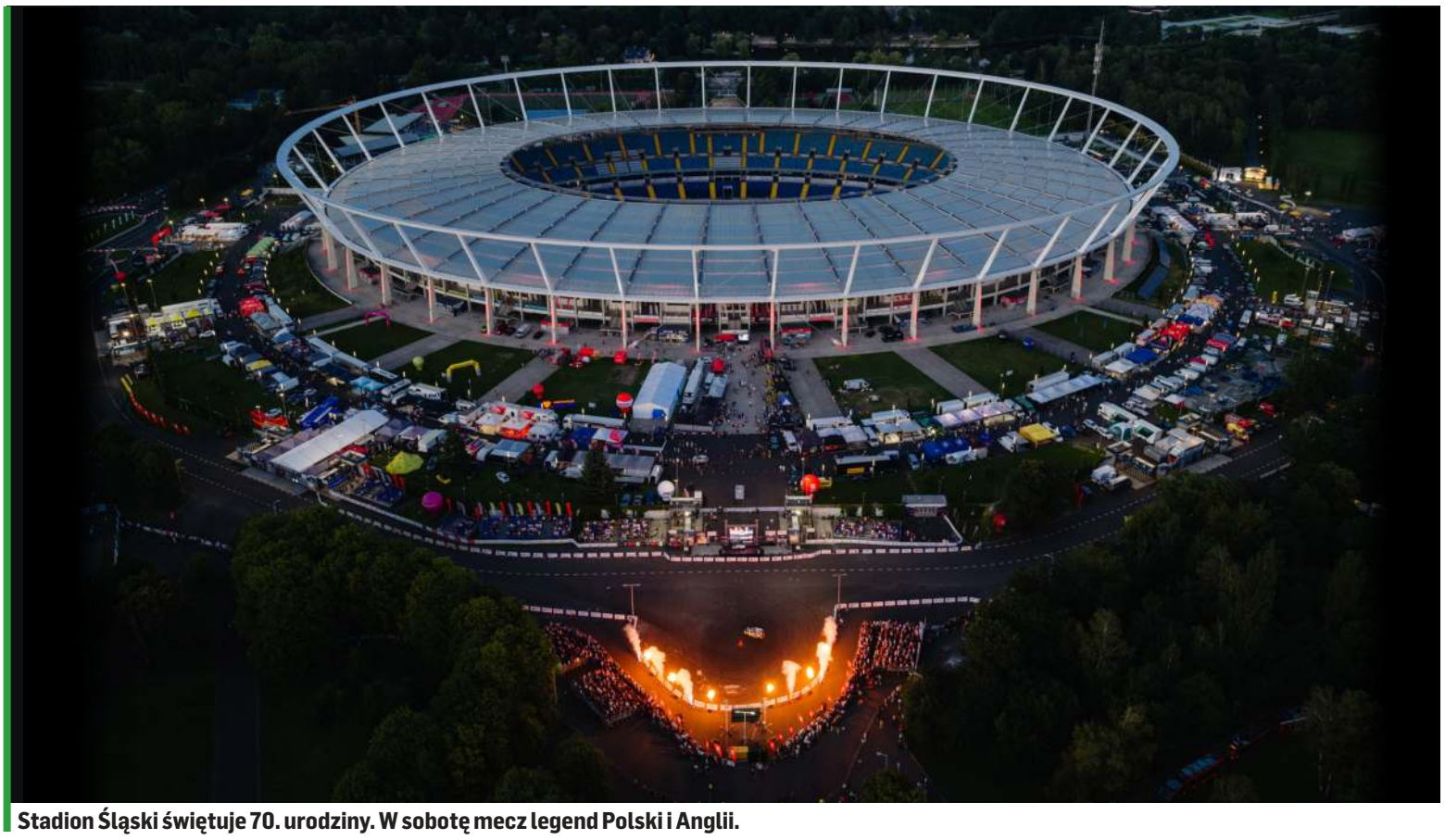

Fot. Pressfocus

Stadion Śląski świętuje 70. urodziny. W sobotę mecz legend Polski i Anglii.

1. Murarze z Wiednia i rekord na trybunach

Spotkanie Górnika Zabrze z Austrią Wiedeń rozegrane 18 września 1963 roku przeszło do historii polskiego futbolu. Nie było porywającym widowiskiem; wręcz przeciwnie. Było ledwie spotkaniem pierwszej rundy Pucharu Europy Mistrzów Krajowych, ale na stałe zapisało się w annałach naszego sportu. Dlaczego? Bo na trybunach zasiadło 120 tys. kibiców! To rekord w historii naszego futbolu.

- I to rekord chyba nie do pobicia, bo takich stadionów już nie ma. Nawet Maracana zeszła z 200 tysięcy na dużo mniejszą pojemność. To było coś niesamowitego widzieć tyle kibiców na stadionie! Człowiek siedział przy człowieku – mówi nam Stanisław Oślizlo.

Górnik tamten mecz wygrał 1:0 po trafieniu w II połowie Romana Lentnera. Goście zabetonowali wtedy swoją bramkę. W rewanżu u siebie wygrali, a zgodnie z regulaminem potrzebne było trzecie starcie. - Kierownictwo Austrii zaproponowało mecz na „neutralnym terenie” na Praterze w Wiedniu, a nasze oczywiście zgodziło się na takie rozwiązanie, skuszone niezłą jak na tamte czasy premią finansową (śmiech). No i klepnęliśmy tych Austriaków, graliśmy dalej – wspomina z uśmiechem wieloletni kapitan Zabrzan, którego piłkarskie życie związane jest na dobre i złe ze Śląskim!

Sport

wychodzi w poniedziałki, środy i piątki

Katowice

JUTRO kolejny numer „Sportu”

120.000 zawiedzionych na Stadionie Śląskim

Trójka Austrii na mecz Polska

11 „murarzy“ Z WIEDNIA zrealizowało plan minimum trenera Fruehwirta

Górnik — Austria 1:0 (0:0)

Lublinianka znów na czele

Cracovia dziękuje Garbarni i Wałbrzychowi

II liga

Mecz Górnika z Austrią zgromadził na trybunach Śląskiego 120 tys. widzów! To rekord frekwencji na piłkarskim meczu w Polsce.

2. Zachwiali potęgą Albionu

Starcie Polska – Anglia z 1973 roku. Jeden z najważniejszych meczów w historii polskiej piłki. To do tego spotkania nawiązują 70 urodziny Stadionu Śląskiego. 6 czerwca 1973 rywalem złotych medalistów olimpijskich z Monachium'72 był mistrz świata z 1966 i zdecydowany faworyt w grupie V eliminacji do dziesiątych mistrzostw świata w Niemczech Zachodnich, czyli Anglia, prowadzona przez Alfa Ramseya. My byliśmy po marcowej porażce z Walią w Cardiff. Z czołową wtedy reprezentacją świata graliśmy o być albo nie być i zwyciężyliśmy przed 90-tysięczną widownią 2:0 po świetnym spotkaniu! Na początku meczu trafił Robert Gadocha, choć do dziś nie wiadomo, czy to on, czy jednak Jan Banaś skierował piłkę do siatki. Na początku drugiej połowy Włodzimierz Lubański odebrał piłkę słynnemu Bobby'emu Moore'owi, pognał na bramkę i pokonał 23-letniego wtedy Petera Shiltona, który w sobotę ma być ponownie w Chorzowie.

Selekcjoner Kazimierz Górski mocno wtedy zaryzykował. W obronie postawił na debiutanta Krzysztofa Rześnego i na grającego ledwie trzeci mecz w narodowych barwach Mirosława Bulzackiego. – To dowód, że trzeba i warto eksperymentować – komentował po meczu w „Sporcie”.

Paskudnej kontuzji w tamtym spotkaniu - zerwania więzadła krzyżowego - doznał nasz kapitan i as, Włodek Lubański i nie grał potem przez ponad 2 lata! Jak na ironię nasza gazeta drukowała wtedy w odcinkach w „Biblioteczce Sportu” opowiadanie o piłkarzu pt. „Diabeł wcielony” autorstwa Lecha Drapińskiego i Bernarda Gryszczyka. Odcinek który pojawił się w dzień po meczu, też tyczył starcia z Anglikami, tyle że klubowego - z Manchesterem United na Śląskim w 1968 roku...

Biało-czerwoni zachwiali potęgą Albionu

POLSKA 2 - ANGLIA 0

Sport

7 czerwca 1973 r.

Tabela grupy V

Dwugłos trenerów

Kazimierz Górski: | Alf Ramsey:

Okiem kibica eksperta

Zgodna opinia prezesów

Oto zwycięska jedenastka biało-czerwonych:

Zwycięskie walki Rudkowskiego i Gortata

Pięciu Polaków w półfinałach XX ME

W czerwcu 1973 roku Biało-czerwoni po znakomitym spotkaniu pokonali w Chorzowie Anglię 2:0.

Sport 62faaaedab

3. 130 tysięcy i „Sto lat" dla Szczakiela

Nie tylko piłka, ale też inne dyscypliny sportowe, a szczególnie żużel, rozgrzewały widownię w pierwszych dziesiątkach lat istnienia Stadionu Śląskiego. W 1970 roku Indywidualne Mistrzostwa Świata - jedne zawody, nie tak jak teraz cykl Grand Prix - rozegrano po raz pierwszy w Polsce, we Wrocławiu, gdzie triumfował jeden z najlepszych zawodników w historii czarnego sportu, niesamowity Nowozelandczyk Ivan Mauger. W niedzielę, 2 września 1973 roku, na Stadionie Śląskim też był głównym faworytem, bronił zresztą tytułu sprzed roku. Tymczasem został zaskoczony. Na trybunach 130 tys. kibiców, absolutny kibicowski rekord w historii polskiego sportu! Doping ogłuszający i znakomita jazda Polaków: 24-letniego żużlowca Kolejarza Opole, Jerzego Szczakiela i o cztery lata młodszego Zenona Plecha ze Stali Gorzów. Temu pierwszemu nie bardzo szło na treningu, zastanawiano się nawet, czy nie zastąpić go nazajutrz innym żużlowcem! Tak się nie stało, a przyszły mistrz świata dwukrotnie pokonał w bezpośredniej walce starego czempiona z Antypodów i został pierwszym polskim mistrzem świata w speedwayu. Mauger był drugi, a rewelacyjny Plech - trzeci.

Sto lat dla Jerzego Szczakiela za pierwsze indywidualne mistrzostwo świata Polaka w speedwayu. Śpiewało 130 tys. kibiców.

To był świetny dzień polskiego sportu, bo kolarskim mistrzem świata (amatorów) został Ryszard Szurkowski, a Stanisław Szozda w Barcelonie był drugi. Nic dziwnego, że nazajutrz, w poniedziałek 3 września 1973 roku „Sport" pisał na pierwszej stronie o „blasku dubeltowego złota". Gazeta kosztowała wtedy złotówkę.

4. Najlepszy mecz kadry Górskiego. Oranje na kolanach!

Połowa lat 70. to apogeum siły polskiego reprezentacyjnego futbolu. Za drużyną prowadzoną przez Kazimierza Górskiego był już złoty medal olimpijski, srebro za mistrzostwa świata 1974 (trzecie miejsce wyceniono na taki właśnie kruszec, wicemistrz nagrodzony został pozłacanymi krążkami) i wiele znakomitych i zwycięskich spotkań. Brakowało jeszcze sukcesu w mistrzostwach Europy, tyle że w finałowej rozgrywce były w tamtym czasie ledwie cztery reprezentacje! Mogliśmy jednak pojechać na turniej do Jugosławii w 1976 roku...

W eliminacyjnej grze, w środę 10 września 1975, zmierzyliśmy się z ówczesnym wicemistrzem świata, Holandią, mająca w składzie wybitnych graczy, z niesamowitym Johanem Cruyffem na czele. Tymczasem Biało-czerwoni przeszli samych siebie. Zagrali znakomite spotkanie, rozbijając Holendrów aż 4:1! Dwie bramki zdobył Andrzej Szarmach, po jednej - inni nasi znakomici napastnicy: Grzegorz Lato i Robert Gadocha. „Mistrzowski koncert Biało-Czerwonych" - pisał „Sport" nazajutrz, dodając w komentarzu. „Wielkie emocje, niepowtarzalna atmosfera, kapitalna publiczność Stadionu Śląskiego, a przede wszystkim wyśmienita gra piłkarskich reprezentacji Polski i Holandii złożyły się na niezapomniane, urzekające widowisko, w którym biało-czerwoni wygrywając 4:1 udowodnili swoją wyższość nad wicemistrzami świata w sposób bezdyskusyjny".

Najlepszy mecz kadry Górskiego? Ogranie wicemistrzów świata Holendrów na Śląskim we wrześniu 1975 aż 4:1!

– Dziękuję wszystkim – mówił po spotkaniu rozradowany trener Górski. Przez wielu ekspertów ten mecz uznawany jest za najlepszy za kadencji Kazimierza Górskiego. Na trybunach było 85 tysięcy kibiców. W „Sporcie" meczową relację pisał Grzegorz Stański (potem na trzech mundialach - w 1982, 1996 i 1990).

5. Drugi krok do Hiszpanii

Początek lat 80. to w polskim futbolu, jak i w polityce, z jednej strony czas nadziei, ale też turbulencji. W listopadzie i grudniu 1980 słynna „Afera na Okęciu". Z pracą żegna się trener Ryszard Kulesza, zastępuje go młody i ambitny Chorzowianin Antoni Piechniczek. Nie ma w kadrze zawieszonych Zbigniewa Bońka i Józefa Młynarczyka, a przed nami mecz z NRD. Rywalem nieprzyjemnym i nieobliczalnym – trzy wcześniejsze mecze, łącznie z finałem olimpijskim 1976, to dwie wygrane wschodnich Niemców i remis. „Trzeba wygrać – ale jak?" - pyta w przededniu spotkania planowanego na sobotę 2 maja 1981 „Sport". To było w czasie karnawału „Solidarności", po 1-majowym „święcie". Na trybunach Stadionu Śląskiego 80 tysięcy fanów. Jak zwykle świetna atmosfera.

Trener Piechniczek postawił na rutyniarzy: Tomaszewskiego, Latę, Szarmacha, ale dał też szansę debiutantom - Jałosze w obronie i w pomocy Buncolowi (druga gra w kadrze). I to właśnie ten drugi okazał się bohaterem. Mierzący 174 cm wzrostu piłkarz na początku II połowy trafił głową po dośrodkowaniu z rożnego w wykonaniu Włodzimierza Smolarka i przedłużeniu piłki przez Grzegorza Latę. Mierzący prawie 190 cm wzrostu Hans-Ulrich Grapenthin musiał wyciągać futbolówkę z siatki. Wygrana 1:0 i - jak pisał „Sport" w poniedziałek 4 maja 1981 w meczowej relacji - „drugi krok do Hiszpanii", po zwycięstwie wcześniej z Maltą na wyjeździe. Rok później Buncol i spółka powtórzyli sukces kadry Górskiego i też cieszyli się z trzeciego miejsca na świecie. Ech, co to były za czasy!

NRD w pokonanym polu w 1981 roku. Ważny krok w awansie na mundial w Hiszpanii.

6. Mamy Katar!

Biało-czerwoni kilka razy wywalczyli bezpośredni awans do finałów mistrzostw świata na Stadionie Śląskim. Tak było po remisie z Portugalią w październiku 1977 roku; we wrześniu 1985 po podziale punktów w spotkaniu z Belgią; wreszcie po wygranej z Norwegią 3:0 prawie dokładnie ćwierć wieku temu, 1 września 2001. Czwarty awans na Śląskim został wywalczony cztery lata wstecz. Najpierw w barażu mieliśmy grać z Rosją na wyjeździe, ale z powodu wybuchu wojny na Ukrainie do finału trafiliśmy bez gry. W nim przyszło się zmierzyć pod koniec marca 2022 ze Szwecją. W Warszawie nie można było grać, więc mecz odbył się w Chorzowie. 54 tysiące kibiców na trybunach (komplet, bo Kocioł Czarownic był już po kapitalnym remoncie), świetna atmosfera, niemilknący ani na chwilę doping – w przeciwieństwie do Stadionu Narodowego w stolicy - no i dwie bramki po przerwie. Do siatki Skandynawów trafiali Robert Lewandowski i Piotr Zieliński. Piłkarze, z grającym z urazem w tym spotkaniu Kamilem Glikiem podkreślali, jak mocno pomogło im wsparcie z trybun i niesamowita atmosfera. – Stadion Śląski znowu okazał się dla nas szczęśliwy – mówił po meczu Glik.

Na Stadionie Śląskim Biało-czerwoni wywalczyli cztery bezpośrednie awanse do finałów MŚ. Ostatni w marcu 2022.

7. Kocioł rekordów

Od czerwca 1972 roku, do początku przebudowy obiektu, co działo się od nieszczęsnego meczu w eliminacjach MŚ w 2009 roku ze Słowacją (porażka 0:1, 5 tysięcy ludzi na trybunach i padający śnieg), murawę na Śląskim okalał żużlowy tor. Po przebudowie i oddaniu stadionu do ponownego użytku w 2018, jest w jego miejscu lekkoatletyczna bieżnia. Za dwa lata odbędą się w Chorzowie lekkoatletyczne mistrzostwa Europy, to będzie pierwsza tej rangi impreza w Polsce.

Od czterech lat na Śląskim odbywają się zawody z cyklu Diamentowa Liga. Wszystko połączone jest z Silesia Memoriałem Kamili Skolimowskiej, organizowanym w Chorzowie od 2018 roku. Pierwsza edycja osiem lat temu zgromadziła 41 200 osób i była to druga największa liczba kibiców lekkiej atletyki na stadionie w Polsce od czasów legendarnego meczu Polska - USA w 1958 roku. Zawody Diamentowej Ligi, gdzie walczy się o pieniądze, prestiż i rekordy, mają najlepszą obsadę, a świetna atmosfera na Śląskim sprzyja biciu rekordów. Dwa lata temu niesamowity Armand Duplantis skoczył o tyczce 6,26 m., ustanawiając nowy rekord świata. Tegoroczny Silesia Memoriał Kamili Skolimowskiej zgromadził na trybunach 38 tysięcy widzów i też sypnęło świetnymi wynikami, w tym rekordem Polski Klaudii Kazimierskiej na 1500 metrów. Kolejne zawody już za rok!

Kocioł rekordów", czyli Śląski i niesamowita lekkoatletyczna Diamentowa Liga, a w czerwcu 2028 - mistrzostwa Europy w LA.

Sport 62faaaedab

Zaczęło się od „konika”

W perspektywie kolejnych meczów 2:1 z Holandią w eliminacjach mundialu w Meksyku 1970 na nic się zdało, ale był to dla naszej kadry swoisty „mit założycielski”. I dla mnie też.

Pomysł był na swój sposób szalony: nie mając biletów, postanowiliśmy ze starszym bratem pojechać na Stadion Śląski w dniu, w którym rozgrywany był ważny mecz eliminacji mistrzostw świata 1970 roku. Rywalem Polski była Holandia, m.in. z Johanem Cruyffem. Tylko zwycięstwo prolongowało nasze szanse na wyjazd do Meksyku. Spotkanie budziło ogromne zainteresowanie, więc o biletach nabytych w kasie – a tym bardziej w dniu meczu - można było z góry zapomnieć.

Na co liczyliśmy? Na „koników”! I na to, że nie będą zbyt pazerni, bo uczniowska kieszeń z założenia była pustawa. Szczęśliwy traf się zdarzył – napatoczył się facet, który miał do sprzedania dwa bilety na sektor 10, ten pod ówczesnym zegarem. Zamiast 10 zł za każdy bilet zaśpiewał 12, więc aby się nie rozmyślił, w charakterze napiwku dostał w sumie 25 zł. Nasze szczęście nie miało granic; tym bardziej, że reprezentacja Polski wygrała 2:1 po bramkach Andrzeja Jarosika i Włodzimierza Lubańskiego. W perspektywie kolejnych meczów na nic się to zwycięstwo zdało, i do Meksyku nie pojechaliśmy, ale po dzień dzisiejszy mówi się, że był to dla naszej kadry swoisty „mit założycielski”. Trzy lata później, w Monachium, wywalczyliśmy złoty medal olimpijski, pięć lat później, również w RFN, trzecie miejsce na świecie.

Dla niżej podpisanego był to także mit założycielski. Pierwszy mecz na Stadionie Śląskim, i kolejne prześwity w młodym umyśle, by w tych fascynujących widowiskach uczestniczyć stale, może i nieustannie – jako dziennikarz.

Podtrzymywały to i rozwijały kolejne wizyty na tym obiekcie (choć oczywiście nie tylko na nim) i kolejne legendarne wydarzenia. Miałem m.in. zaszczyt – dzięki ojcu, który został obdarowany biletem - być na rewanżowym meczu Górnika z AS Roma w półfinale Pucharu Zdobywców Pucharów, który w opinii wielu widzów zakończył się niepowodzeniem (remisem 2:2). Poszło o to, że w większości nie wiedzieli, iż bramki w dogrywce nie liczyły się wówczas podwójnie. I to właśnie tam, zmierzając ku wyjściu, usłyszałem hasło, które pozostanie we mnie na wieki wieków: „Co? „Sportu” nie czytaliście. Będzie trzeci mecz!”. Był w tym wyrzut wobec tych niewiedzących, ale i wielki szacunek wobec pisma, które później stało się moją przystanią na co najmniej 3/4 zawodowego życia.

Fot. archiwum „Sportu”

Włodzimierz Lubański na Stadionie Śląskim strzelał niezapomniane gole...

A potem poszło! Udało mi się więc naocznie uczestniczyć w tak wiekopomnych wydarzeniach, jak zwycięskie mecze z Anglią w czerwcu 1973, z Walią we wrześniu tegoż roku. Co to dało, każdy kibic wie. No i byłem naocznym świadkiem nieprawdopodobnego triumfu 4:1 nad Holandią w 1975 roku, który to mecz uchodzi za najlepszy w historii polskiej piłki reprezentacyjnej.

Lata później, na odremontowanym stadionie, byłem świadkiem triumfu nad Norwegią, pieczętującego wytęskniony awans do finałów MŚ 2002. W świetle biletów nabytych u „konika” był to swoisty chichot historii – mecz ten oglądałem z loży, zaproszony przez Mariana Dziurowicza.

Andrzej Grygierczyk

Chłopaki też płaczą

Miało być jubileuszowo, więc i radośnie. A będzie łzawo.

Ze względu na rocznik, pierwsze moje świadome wzmożenia piłkarskie to genialny dla nas turniej España '82, na który kadra Pana Trenera (zabieg z wielkimi literami celowy – korekta nie poprawia!) Antoniego Piechniczka przebijała się przez pamiętną (dla mojego pokolenia) główkę „Krupnioka” w meczu z NRD na Stadionie Śląskim. Nie byłem na nim, bo... nie było komu zabrać nań dziewięciolatka; sąsiadowi z tej strony zazdroszczę futbolowej inicjacji z inicjatywy taty. Mój codzienną lekturę „Trybuny Robotniczej” kończył na przedostatniej stronie i nie mógł pojąć, co ciekawego można wyczytać na kolejnej, gdzie zamieszczano piłkarskie wyniki.

Dopiero parę lat później rodzice uznali, że dorosłem do momentu, by banką – z przesiadkami – samodzielnie wybrać się na chorzowski gigant. Tyle że w międzyczasie skończyła się nam era międzynarodowych sukcesów, której ostatnim świadectwem był awans na mundial w Meksyku, też wywalczony w Chorzowie. Mecz z Belgią widziałem, popłakałem się – nikt jeszcze wtedy nie wiedział, że Muniek Staszczyk 12 lat potem zaordynuje „Chłopaki nie płaczą” - z radości. Nie wiedziałem, że wkrótce na tych samych trybunach, z tymi samymi łzami (tyle że już goryczy) w oczach, bezsilnie obgryzać będę paznokcie...

„Baran, kompletny baran” - darł się obok mnie na trybunie Śląskiego gościu, wygrażając piłkarzowi Górnika. Może nawet nie wiedział, że tenże Baran się nazywa; w tamtym momencie liczyło się tylko to, że zabrzański napastnik od połowy biegł sam z piłką na bramkę wielkiego Realu i... zbaraniał w ostatniej chwili. Wandzik, Dankowski, Komornicki, Urban – jak równy z równym grali z mitycznym (nie było cyfrowej telewizji i youtube'a z highlightsami z meczów) rywalem, ale przegrali. Wyć się chciało...

Dariusz Leśnikowski

Forever in love

Zakochałem się w Stadionie Śląskim miłością nieprzytomną, która będzie trwała już do końca moich dni.

Stadionowi zawdzięczam mnóstwo, przeżyłem na nim wiele przygód.

To na nim zakochałem się w piłce nożnej. 2 września 1981 roku ojciec zabrał mnie na mecz Polska - RFN, miał bilety z huty. Wysiedliśmy z tramwaju od strony Katowic. Było już ciemno i w milczeniu szliśmy w stronę łuny na wieczornym niebie. W ciągnącym zewsząd tłumie czułem ekscytację. Wspiąłem się po stopniach starego jeszcze Śląskiego z niedowierzaniem. A kiedy weszliśmy na koronę, zaraz koło wieży - rzeczywistość przerosła moje wyobrażenia. Zatkało mnie. Utonąłem w futbolu na zawsze. Potem było już z górki...

Namiętnie obwąchiwałem Śląski niczym szczeniak, za bajtla krążyłem wokół niego uważnie w wolnych chwilach. Przyciągał mnie jak magnes. Szybko znalazłem za krzakami dziurę w ogrodzeniu, brakowało jednego pręta... W efekcie w latach 80. wchodziłem tą szparą - byłem wtedy bardzo chudy - na mecze. Za darmo. Zrezygnowałem z tej formy uczestnictwa w widowiskach sportowych, bo... żal było mi biletów, które wtedy zbierałem. Pewnego dnia, jeszcze jako fan niepełnoletni, wbiegłem na chama na murawę. Chodziło mi tylko o to, żeby stanąć w miejscu, w którym Lubański strzelił gola Anglikom, spojrzeć z jego perspektywy. Nikogo wtedy na murawie i trybunach nie było, Śląski był tylko mój...

Potem przygód zdarzyło się mnóstwo, nie sposób wszystkie opisać. Pierwsza, która się wysypała z pakunku wspomnień: za nastolatka zdesperowany udawałem członka obsługi wnoszącej do środka pakunki szwedzkiej reprezentacji piłkarskiej. Zanim mnie wyrzucili ze stadionowego hallu, zdążyłem zebrać autografy Johnny'ego Ekstroema et consortes...

XXI wiek? Na własną odpowiedzialność wszedłem na dach i doszedłem aż do jego skraju. Mogłem spojrzeć w dół. Na szczęście nie mam lęku przestrzeni. Na Śląskim nie sposób go mieć.

Paweł Czado

Bez sztyla do flagi

Pierwszy raz na meczu na Stadionie Śląskim byłem, kiedy miałem 12 lat. Wrażenie? Niesamowite, nie do zapomnienia. 80 tysięcy ludzi na trybunach, dobra majowa pogoda, no i rywal...

Polski reprezentacyjny futbol wciąż był w światowej czołówce. W 1983 roku biliśmy się o awans na francuskie EURO m.in. z reprezentacją ZSRR. U nas trwał jeszcze stan wojenny, spokoju nie było. Przed stadionem - pełno ZOMO, czyli Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej, przeznaczonych do pacyfikacji opornych, głównie solidarnościowej opozycji walczącej z komunistycznym rządem. Kilkanaście miesięcy wcześniej krwawo spacyfikowały nieodległą od Stadionu Śląskiego kopalnię Wujek. Środki ostrożności w meczu rozegranym 22 maja 1983 były posunięte tak daleko, że zabroniono przynosić flagi na drzewcach. Mogła być sama flaga. Milicja i władza obawiały się demonstracji i tego, że drewniane sztyle mogą posłużyć do walki z zomowcami...

Były transparenty, „Dziś Orzeł wygra z Miszką”, były niecenzuralne okrzyki, ale nic pozasportowego się nie wydarzyło. Sporo działo się za to na murawie. Dla nas był to mecz o być albo nie być, bo miesiąc wcześniej niespodziewanie zremisowaliśmy na Stadionie Dziesięciolecia z Finlandią, a jeszcze wcześniej - przegraliśmy z Portugalią.

Z Ruskimi było nawet nieźle: prowadziliśmy, ale potem nieszczęśliwa interwencja Romana Wójcickiego. Do dziś mam przed oczami tą sytuację, bo akurat w tym sektorze stadionu z ojcem siedzieliśmy. Wyciąga w ślizgu swoją długą nogę po dośrodkowaniu rywala z lewej strony (Anatolija Demianienki), piłka zmienia kierunek i wpada do siatki. Józef Młynarczyk pewnie złapałby futbolówkę, bo piłka leciała wolno... Jest 1:1, do końca nic już się nie zmienia, tracimy kolejne punkty i przegrywamy eliminacje.

Potem, w ramach „zemsty”, pomogliśmy Portugalii awansować do finałów ME, przegrywając z nią rewanż we Wrocławiu 0:1. Kiedy rywal strzelił bramkę, kilka tysięcy widzów na prawie pustym Stadionie Olimpijskim krzyczało pod adresem piłkarzy „Jeszcze jeden!”. Ruskie nie zagrały na francuskim turnieju...

Michał Zichlarz

Sport 62faaaedab

Niezwykłe święto Unii Strzybnica

Z niecodziennej okazji przyjedzie na mecz reprezentacja Śląska oldbojów.

Klub ze Strzybnicy, dziś dzielnicy Tarnowskich Gór, ma bogata historię - powstał 102 lata temu. Odwiedzam piękny, zadbany stadion, na którym miejscowi piłkarze grają w „okręgówce". Przed klubem świetna uroczystość, mimo że jubileusz przecież już niedawno był. Teraz jednak stadion przy ul. Armii Krajowej otrzyma oficjalnie patrona. To będzie człowiek „stond".

- Uroczystość odbędzie się 3 października. Wtedy stadionowi zostanie nadane imię Jana Kałużnego - informuje Sylwester Kurek, nowy prezes Unii. Na pomysł uhonorowania w ten sposób zasłużonego dla tego właśnie klubu człowieka wpadł długoletni działacz Unii, Sylwester Krok. Jan Kałużny to zmarły w maju wieloletni zawodnik i działacz, który ze Strzybnicą był związany całe życie. Grał choćby w słynnym i pamiętanym tutaj meczu z 1960 roku, który był barażem o III ligę. Rywalem był Ruch Radzionków. Na stadion przyszło wówczas 5 tysięcy ludzi...

Teraz też będzie ich niemało. - Na uroczysty mecz z pierwszą drużyną Unii przyjedzie reprezentacja Śląska oldbojów z Mariuszem Śrutwą, Adamem Krygerem czy Wojciechem Grzybem w składzie - cieszy się Sylwester Kurek. Przy tej okazji odbędzie się oczywiście wielki festyn.

Piłka i ciężary

Jestem w Strzybnicy. Przeglądając wspaniałą, pełną zdjęć kronikę, rozmawiam z ludźmi związanymi z klubem przez dziesięciolecia. Przyjaciółmi Jana Kałużnego, przyszłego patrona stadionu byli Józef Gołkowski i Eugeniusz Wawrosz. Dla nich Unia Strzybnica to świętość.

Józef Gołkowski (rocznik 1943): - Cieszymy się, że możemy uhonorować Janka w ten sposób. Jesteśmy z tym klubem związani całe życie, choć - jeśli chodzi o piłkę, miałem... moment zdrady (uśmiech). Jako 15-latek zakochałem się w podnoszeniu ciężarów. Przeczytałem artykuł na temat ćwiczeń siłowych i zrobiłem sobie sztangę. Na co dzień byłem więc piłkarzem, grałem w bramce i jako stoper, a w domu po kryjomu trenowałem ze sztangą. Szło mi nieźle, zaliczyłem nawet mecz międzypaństwowy w kadrze juniorów przeciw Bułgarii, w 1965 roku - opowiada.

On związał się ze Strzybnicą, a jego młodszy brat Franciszek (rocznik 1947) - poszedł w świat. Jako ligowiec grał w Pogoni Szczecin, Szombierkach i Śląsku Wrocław. Potem, na zakończenie kariery, grał z Zygmuntem Anczokiem w Chicago. Wychodzi, że to chyba największy obieżyświat ze Strzybnicy.

Eugeniusz Wawrosz urodził się w 1940 roku, jeszcze jako Ginter. Z Janem Kałużnym chodził do szkoły, są z tego samego rocznika. - Wszyscy godajom mnie Ginter, ale podpisuja się Eugeniusz - tłumaczy. - Całe życie jestem związany z tym klubem, ale jo nigdy w nim nie groł. Cały czas byłem jedynie kibicem i... kronikarzem. Spisywałem ręcznie wszystkie mecze od 1968 roku. Zapisałem w ten sposób 16 zeszytów - opowiada z uśmiechem. - Na 50-lecie klubu to odwiedziła mnie z tej okazji nawet telewizja, powstał reportaż - wspomina. - Wnuczek mnie potem pyta: „Dziadek, a coś ty tak po ślonsku w tej telewizji godoł?" A ja na to: „Jak bych godoł po polsku, to wcale by nie rozumieli"... - wspomina Wawrosz. - Te jego kroniki są niezwykłe. On lepiej dzięki nim wiedział o moich występach niż ja sam - śmieje się Gołkowski.

Fot. Paweł Czado

Każdy klub ma ludzi, którzy oddani mu są całym sercem. Od lewej: Józef Gołkowski, Katarzyna Wachnik i Eugeniusz Wawrosz.

PZPN docenia medalem

- Tata grał, trenował i działał z zarządzie. Jako piłkarz strzelał dużo bramek. Zapisał się w każdej roli. Prowadził oficjalną kronikę przez wiele lat i udzielał się społecznie. Zawsze sobie cenił, że w Strzybnicy pamięta się o dawnych zawodnikach. Zawsze służył radą i wsparciem następcom - mówi skromnie Katarzyna Wachnik, z domu Kałużny. W 2025 roku PZPN uhonorował go brązowym medalem za wybitne osiągnięcia w rozwoju piłki nożnej.

Kałużny był także współzałożycielem miejscowego klubu emeryta. - Do dziś ma on spotkania w czwartki między 15.30 a 19.00. Miejsce Janka pozostaje puste i nikt na nim nie siada - wpada w słowo na koniec Jan Gołkowski.

Paweł Czado

UNIA STRZYBNICA

■ Klub powstał w 1924 roku jako Amatorski Klub Sportowy Strzybnica. Ćwierć wieku później, w 1949 roku - na otwarcie nowego stadionu (w innym miejscu niż obecnie, bo dziś jest tam szkoła i pawilony handlowe) przyjechał Ruch Chorzów. W 1960 roku padł rekord frekwencji - gdy Stal-Bet (tak wtedy nazywał się klub ze Strzybnicy) grał z Ruchem Radzionków o awans do III ligi, na stadion przyszło 5 tysięcy ludzi. Wiodąca zawsze była sekcja piłki nożnej, ale sukcesy odnosiły też sekcja szachowa i kolarska. Klub wiele razy zmieniał nazwę. Nazywał się m.in. KS Strzelec, ŁKS Ołów, KS Stal, KS Zamet... W latach 80. wybudowano całkiem nowy stadion - przy ul. Armii Krajowej. Klub został rozwiązany w 2011, ale już na przełomie 2011 i 2012 roku - z inicjatywy Józefa Gołkowskiego i Jana Kałużnego - został reaktywowany jako Uczniowski Klub Sportowy Unia Strzybnica.

Dobrze tylko do przerwy

Piłkarki Czarnych Sosnowiec nie dały rady odrobić strat z pierwszego meczu ostatniej rundy eliminacji Ligi Mistrzyń.

Przed tygodniem zespół Sebastiana Stemplewskiego uległ mistrzyniom Belgii 1:4, ale... - Pierwszy mecz pokazał, że to nie był rywal nie do pokonania. Niestety, przytrafiły się słabsze momenty, rywal zadał dwa ciosy i wytrącił nas z równowagi. W piłce na szczęście wszystko może się zdarzyć - mówiła przed rewanżem Klaudia Miłek, napastniczka Czarnych.

Ekipa z Sosnowca od początku starała się atakować i po strzale Zofii Burzan częściowo odrobiła straty. By doprowadzić do dogrywki, konieczne było zdobycie jeszcze dwóch bramek. Nie udało się, a na domiar złego w 57 minucie wyrównała Julia Biesmans. Ambitne Sosnowiczanki do końca walczyły o wygraną i godne pożegnanie z marzeniami o fazie zasadniczej Ligi Mistrzyń, ale na więcej nie było ich stać. W końcówce Belgijki zdobyły drugą bramkę i to one awansowały do elitarnych rozgrywek. Mistrzynie Polski nie kończą międzynarodowej przygody, bo wystąpią w eliminacjach Europa Cup. Losowani 2. rundy eliminacyjnej odbędzie się 4 września o 15.00 w Nyonie, a mecze zostaną rozegrane 23 i 30 września.

■ **Oud-Heverlee Leuven - Czarni Antrans Sosnowiec 2:1 (0:1)**
Bramki: Biesmans 57, Conijnenberg 84 - Burzan 43.
CZARNI: Palińska - Chudzik, Kurzawa, Łapińska, Buszewska - Sobierajska (63. Kaletka), Burzan (87. Chmura), Miksone, Kozielska (70. Kotowicz), Sarapata - Miłek. Trener Sebastian STEMPLEWSKI.

(KP)

5. LIGA ŚLĄSKA

GRUPA I

Jedność 32 Przyszowice - Pilica Koniecpol 1:3.

1. Ornontowice	4	12	12:3
2. Koniecpol	4	12	11:5
3. Zagłębie II	4	10	11:3
4. Śląsk	4	9	6:4
5. Piaski (b)	4	9	7:6
6. Miasteczko Śl.	4	7	11:3
7. Krzepice	4	7	7:8
8. Rędziny	4	6	8:5
9. Czeladź	4	6	9:7
10. Sarmacja (b)	4	5	8:7
11. Przyszowice	4	3	4:7
12. Miedary	4	1	4:8
13. Mikołów	3	1	5:10
. Unia D. G.	4	1	5:10
15. Żarki (b)	3	0	4:12
16. Sierakowice (b)	4	0	3:17

GRUPA II

BKS Stal Bielsko-Biała - GLKS Wilkowice 2:2.

1. Stal-Śrubiarnia	4	10	19:3
2. Rekord II	4	10	11:4
3. Mszana (b)	4	10	8:3
4. Czaniec	4	9	6:3
5. Goczałkowice II	4	8	17:4
6. Tworków	4	8	11:3
7. Drogomyśl	4	8	11:4
8. Istebna	4	4	10:8
9. Puńców (b)	4	4	5:9
10. Lędziny	4	4	5:11
11. Skoczów	4	3	7:9
12. Dankowice (b)	4	3	4:10
13. Świerklany	4	2	3:7
14. Wilkowice	4	2	5:12
15. BKS Stal	4	1	3:13
16. Pniówek (s)	4	0	0:22

ŚLĄSKA KLASA OKRĘGOWA

GRUPA II

Liswarta II Krzepice - Lot Konopiska 4:3, Unia Kalety - Skra Częstochowa / Amator Golce 1:1, Warta Poraj - Jedność Boronów 3:4, Sparta Lubliniec - MKS Myszków 0:4, Stradom Częstochowa - Lotnik Kościelec 2:2, Promień Glinica - LKS Kamienica Polska 3:1, Znicz Kłobuck - Warta Kamieńskie Młyny 1:0. Płomień Lgota Mała - KS Panki przełożony na 9 września.

1. Kłobuck (s)	4	10	14:4
2. Skra/Golce	4	10	15:7
3. Boronów	4	9	12:8
4. Myszków (b)	4	9	9:5
5. Glinica (b)	4	7	9:12
6. Lgota Mała	3	6	12:5
7. Kamieńskie Młyny	4	6	9:7
8. Poraj	4	6	10:9
9. Kamienica Polska	4	6	9:8
10. Kalety	4	4	5:6
11. Kościelec	4	4	6:8
12. Lubliniec (b)	4	4	5:9
13. Stradom	4	4	7:13
14. Krzepice II (b)	4	3	6:11
15. Panki	3	1	5:11
16. Konopiska	4	0	7:17

(g)

Sport 62faaaedab

Początek nowej epoki

Karol Bielecki wraca do piłki ręcznej. Według doniesień medialnych, ikona handballu ma zostać prezesem mistrzów Polski!

INDUSTRIA KIELCE

W Kielcach zakończyła się pewna epoka. Po 12 latach z prowadzenia zespołu zrezygnował legendarny Tałant Dujszebajew. Pod koniec kwietnia zastąpił go Krzysztof Lijewski, dotychczasowy asystent Kirgiza z hiszpańskim obywatelstwem, który poprowadził drużynę do 21. tytułu mistrza Polski. Po zakończeniu sezonu z zespołem pożegnali się także synowie Dujszebajewa, Alex i Daniel, rozgrywający stanowiący w ostatnich latach o sile zespołu, a także bramkarze Klemen Ferlin i Bekir Cordalija, obrotowy Łukasz Rogulski oraz rozgrywający Jorge Maqueda.

Propozycja nie do odrzucenia

Najważniejszą jednak informacją letniego okresu przygotowawczego, jeszcze oficjalnie nie potwierdzoną przez klub, ale już bardzo mocno rozpowszechnioną, jest ta, że nowym prezesem spółki Iskra Kielce SA, prowadzącej drużynę Industrii, ma zostać Karol Bielecki. Legenda Vive Kielce wraca więc do klubu, a swoim doświadczeniem i kontaktami ma wspomóc aktualnych mistrzów Polski. Paweł Papaj, który obecnie pełni obowiązki prezesa, ma pozostać w zarządzie klubu jako wiceprezes.

Fot. Adam Starszyński/PressFocus

Czy w roli prezesa kieleckiego klubu Karol Bielecki będzie równie skuteczny jak na parkiecie?

O bardzo istotnych zmianach kadrowych w gronie działaczy poinformowały już wszystkie kieleckie media. Z klubu odszedł Michał Jurecki, znakomity ongiś reprezentacyjny rozgrywający z epoki „Orłów Wenty", medalista mistrzostw świata, pełniący funkcję dyrektora sportowego. Po zaledwie trzech miesiącach z klubem rozstał się Konrad Czajkowski, który był w składzie zarządu.

Według informacji kieleckiego „Echa Dnia", w ostatnich tygodniach właściciel klubu, którym od trzech lat jest Świętokrzyska Grupa Przemysłowa Industria, złożył propozycję Karolowi Bieleckiemu, żeby wrócił do piłki ręcznej i stanął na czele zarządu. Po kilku spotkaniach i rozmowach jeden z najlepszych i najbardziej utytułowanych szczypiornistów w historii podobno wyraził zgodę na objęcie sterów klubu. Zarząd zostanie rozszerzony o jeszcze jedną osobę, którą ma być Jakub Malke, menedżer sportowy, związany do tej pory z siatkówką.

Niezmiennie walka o złoto

Tymczasem w najbliższą sobotę wyjazdowym meczem z MKS-em Kalisz mistrzowie kraju rozpoczną kolejny sezon LOTTO Superligi. Po odejściu trenera Dujszebajewa i kluczowych graczy trener Krzysztof Lijewski musi stawić czoło pladze kontuzji, jednak cele klubu niezmiennie pozostają najwyższe, choć w minioną sobotę w Łodzi w rywalizacji o krajowy Superpuchar Kielczanie musieli uznać wyższość odwiecznego rywala - Orlen Wisły Płock - przegrywając 24:27.

Przed „Lijkiem" stoi ogromne wyzwanie przebudowy i zintegrowania zespołu, do którego dołączyło sześciu nowych graczy: bramkarze Dejan Milosavljev i Kacper Kaleta, rozgrywający Kirył Rabczyński, Milorad Bakić, Luka Klarica i Julien Bos, a z wypożyczenia wrócił skrzydłowy lub prawy rozgrywający Faruk Yusuf. - Wiem, jak duże są oczekiwania, jak duża jest presja, ale nie boję się ich. Mam plan na tę drużynę i jej wizję. Wiem, jak chcę, żeby wyglądała – zapewnił Lijewski. Podkreślił przy tym, że uczy się każdego dnia. - Doświadczenia się nie kupi. Nabywa się je poprzez codzienną pracę, ucząc się zarówno na zwycięstwach, jak i na porażkach – przyznał medalista mistrzostw świata.

Plaga kontuzji

Największym zmartwieniem kieleckiego sztabu szkoleniowego jest obecnie szybkie wdrożenie nowych graczy. - Chciałbym, żeby jak najszybciej poznali kulturę gry, poznali timing, kolegów, żebyśmy jak najszybciej wszyscy myśleli, jak jedna osoba – tłumaczył strategię trener obrońców tytułu.

Zadanie to jest o tyle trudniejsze, że kilku jego podopiecznych zmaga się z kontuzjami. Wykluczeni z gry są obecnie Bakić (po zabiegu dłoni), Arkadiusz Moryto (po operacji barku), Szymon Sićko (po powtórnej operacji kolana) i Michał Olejniczak (po zabiegu kolana), a z urazami zmagają się Piotr Jędraszczyk (żebra) oraz wspomniany Klarica, który powoli wraca do sprawności po marcowej operacji kręgosłupa. - Na pewno nie mam zbyt komfortowych warunków pracy. W ostatnich tygodniach wypadło mi kilku zawodników i to kluczowych – skomentował Lijewski, który jednak nie zamierza szukać wymówek. - Musimy grać tymi, których mamy. Pech jednego zawodnika to potencjalne szczęście jego konkurenta z pozycji – zaznaczył trener Industrii.

Atutem kieleckiego zespołu ma być teraz wszechstronność zawodników w ataku i obronie oraz brak przepisu o limitach polskich graczy, co znacznie ułatwi rotację.

Zbigniew Cieńciała

CZY WIESZ, ŻE...

■ Zaczynający się w piątek sezon będzie ostatnim dla Theo Monara w barwach Industrii. Zawodnik swoją karierę kontynuował będzie w Bundeslidze, a konkretnie w Fuchse Berlin. Francuz barw kieleckiego klubu broni od 2024 roku. Obrotowy jest wychowankiem francuskiego HBC Nantes, skąd trafił do Żółto-biało-niebieskich, zdobywając wicemistrzostwo, mistrzostwo, a także Puchar Polski. Jest regularnie powoływany do reprezentacji. Po zakończeniu poprzedniego sezonu 25-latek poinformował władze klubu, że wypełni kontrakt, ale będzie to jego ostatni rok w barwach Industrii. Zapewnił jednocześnie, że będzie profesjonalnie podchodził do obowiązków, zadeklarował pełne zaangażowanie oraz chęć osiągnięcia kolejnych sukcesów.

RÓWNIE DOBRZE KOPAŁ PIŁKĘ

■ Karol Bielecki urodził się 23 stycznia 1982 r. w Sandomierzu. Jest jednym z najlepszych zawodników w historii polskiej piłki ręcznej. Jest wychowankiem Wisły Sandomierz, choć zaczynał jako obiecujący... piłkarz nożny Siarki Tarnobrzeg. Naturalne warunki do piłki ręcznej dostrzegł w nim Ryszard Kiliański, trener Wisły, który namówił Karola do uprawiania tej dyscypliny. W zespole ze stolicy regionu świętokrzyskiego grał przez 11 lat (1999-2004 i 2012-18), zaliczając 211 meczów i 910 bramek.

W 2004 roku - za 200 tysięcy euro - przeniósł się do niemieckiego SC Magdeburg, z którym w 2007 roku zdobył Puchar EHF. Potem trafił do innego niemieckiego klubu, Rhein-Neckar Loewen.

W 2012 roku wrócił do Kielc. Z PGE Vive wywalczył 7 tytułów mistrza Polski i trzy medale Ligi Mistrzów; w 2016 roku triumfował w LM, odnosząc największy sukces w historii klubowej polskiej piłki ręcznej. Z reprezentacją Polski (256 meczów/962 bramki) został wicemistrzem świata (2007) i zdobył dwa brązowe medale (2009, 2015). Na igrzyskach olimpijskich w Rio de Janeiro (2016) był królem strzelców oraz chorążym reprezentacji Polski.

11 czerwca 2010 roku, w 10 minucie towarzyskiego meczu z Chorwacją w Kielcach, Bielecki został przypadkowo trafiony kciukiem w lewe oko przez Josipa Valcicia. Mimo dwóch operacji oka nie udało się uratować. Po tym wydarzeniu Bielecki grał jeszcze przez 8 lat w specjalnych okularach. 20 maja 2018 roku oficjalnie ogłosił zakończenie kariery.

„Kola", bo taką ksywkę nosi od dziecka, ma żonę Aleksandrę, córkę Hannę i syna Aleksandra, który trenuje koszykówkę w UJK Kielce. Bielecki jest biznesmenem. Prowadzi firmę produkującą pojemniki i opakowania z tworzyw sztucznych.

Drużyna to podstawa

KOLARSTWO

Matthew Brennan z ekipy Visma-Lease a Bike wygrał 11. etap wyścigu Vuelta a Espana. Brytyjczyk okazał się najszybszy z peletonu w miejscowości Lorca na południowym wschodzie Hiszpanii, zwyciężając już po raz trzeci w obecnej edycji tej trzytygodniowej imprezy.

21-latek podkreślał, że nie byłoby tego zwycięstwa – już 22. w krótkiej, bo trwającej dopiero drugi rok zawodowej karierze – gdyby nie doskonała praca jego drużyny, która kontrolowała wyścig od początku do końca. – Dzisiaj znów przejęliśmy inicjatywę. Pojechaliśmy na maksa, w końcówce utrzymaliśmy pozycję na czele dużej grupy, wiedząc, że jesteśmy wystarczająco silni, by osiągnąć zamierzony cel. Wykonaliśmy fantastyczną robotę, jako pierwsi przecięliśmy linię mety, więc jesteśmy bardzoszczęśliwi – cieszył się Brennan, którego na ostatnim kilometrze świetnie rozprowadził utytułowany Belg Wout van Aert. – Jestem w drużynie pełnej wielkich mistrzów. Są tu zawodnicy, którzy stawali na podium Wielkich Tourów i je wygrywali, a także tacy, którzy triumfowali w najważniejszych klasykach. To, że za każdym razem pracują na mnie, stanowi niesamowitą szansę. Jestem im ogromnie wdzięczny, że dają z siebie wszystko, żebym to ja mógł to wykończyć i osiągnąć sukces – podkreślał Brytyjczyk. Środowy odcinek był w miarę krótki i niezbyt trudny, więc klasyfikacja generalna pozostała bez zmian. Te mogą nastąpić w czwartek, bo na kolarzy czeka kilka wymagających podjazdów, w tym kilkunastokilometrowa wspinaczka do mety.

Wyniki 11. etapu, Cartagena - Lorca (151,3 km): 1. Matthew Brennan (Wielka Brytania, Visma-Lease a Bike), 2. Bryan Coquard (Francja, Cofidis), 3. Jordi Meeus (Belgia, Red Bull-BORA-hansgrohe) - wszyscy 3:17.18.

Klasyfikacja generalna: 1. Enric Mas (Hiszpania, Movistar) 35:59.02, 2. Primoż Roglić (Słowenia, Red Bull-BORA-hansgrohe) strata 1.18, 3. Felix Gall (Austria, Decathlon CMA CGM) 1.39.

(g)

ZWYCIĘSTWO NA URODZINY

■ Antoni Muryj z drużyny Mazowsze Serce Polski wygrał pięcioetapowy wyścig Dookoła Bułgarii. Polak na pierwszym etapie przyjechał do mety w czołowej, nie za dużej grupie, dwa następne w peletonie, a na czwartym finiszował jako drugi z czteroosobowego odjazdu. To dało mu prowadzenie w klasyfikacji generalnej, które utrzymał w dniu swoich 21. urodzin, odnosząc największy sukces w karierze.

Sport 62faaaedab

Pierwszy bilet do Kataru rozdany!

Koszykarskie szaleństwo w Europie! Polska blisko awansu, Turcy nie do zatrzymania, Hiszpania w szoku.

ELIMINACJE MISTRZOSTW ŚWIATA

Sierpniowe okienko eliminacji mistrzostw świata przyniosło całą serię niesamowitych rozstrzygnięć. W grupie K na czele jest trzech liderów. Niemcy, Chorwaci i Polacy mają tę samą liczbę punktów (po 15) i aż 3 oczka przewagi nad czwartą Łotwą. Wszystko wskazuje na to, że już w najbliższym listopadowym okienku cała trójka zapewni sobie bilety do Kataru. Oficjalne serwisy FIBA zwracają uwagę na niesamowitą skuteczność ofensywną liderów. Reprezentacje Polski (średnio 96,0 pkt na mecz), Niemiec (93,3 pkt) oraz regularnie rzucająca ponad 100 punktów Chorwacja tworzą najbardziej widowiskową i bezwzględną grupę w całych europejskich eliminacjach.

Po niedzielnym, dramatycznym meczu w Gdańsku, w którym Niemcy wygrali z Polską po dogrywce 96:94, media za naszą zachodnią granicą rozpisują się o genialnym widowisku. Portale takie jak Sport1.de pisały o „thrillerze w dogrywce" i wielkiej uldze mistrzów świata, a serwis basketball-world.news komplementował reprezentację Polski, nazywając ją zespołem „nieustępliwym" i „upartym", który zmusił obrońców tytułu do najwyższego wysiłku. Komentatorzy na Bałkanach ekscytują się z kolei formą reprezentacji Chorwacji, która dzięki stabilnej grze Mario Hezonji i Dario Šaricia wykorzystała potknięcie Polaków i dzięki lepszemu bilansowi małych punktów formalnie wskoczyła na pozycję lidera grupy K.

Fot. FIBA.com

Eric Spoelstra (w środku) w Pesaro oglądał mecz Włochów z Serbami.

Marsz Turków

Po tym jak Polska przegrała z Niemcami jedyną drużyną bez porażki w obecnych eliminacjach pozostała Turcja. Drużyna trenera Ergina Atamana rozbiła u siebie Litwinów (94:66), a potem sprawiła lanie Islandii w Reykjaviku (110:73). Jej najbardziej prestiżowe zwycięstwo miało jednak miejsce w marcu, kiedy to po zaciętym boju ograła w Stambule Serbię 94:86. Turcja jako pierwsza zapewniła sobie awans do przyszłorocznego mundialu w Katarze. Dla reprezentacji Turcji będzie to szósty występ na mistrzostwach świata w historii. Zespół powalczy o poprawienie swojego najlepszego wyniku – 2. miejsca wywalczonego w 2010 roku.

Głównym motorem napędowym reprezentacji w eliminacjach był Tarik Biberovic, który zdobywał średnio 17,8 punktu na mecz (najwięcej w zespole). Kapitalnie spisywał się również Cedi Osman, dokładając średnio 16,3 punktu.

Szef tureckiej federacji Hidayet Türkoğlu podkreślił, że marsz Turcji w górę trwa nieprzerwanie od czasu wywalczenia wicemistrzostwa Europy, chwaląc jedność i powtarzalność zespołu. - Takie procesy nie należą do łatwych. Jedność, jaką pokazują po wyjściu na parkiet, oraz walka, którą podejmują, po raz kolejny udowodniły, że zasługują na miejsce w ścisłej czołówce europejskiej koszykówki - podkreślił.

Chory Jokić

Oba mecze wygrała w tym okienku Serbia, która najpierw wysoko ograła u siebie Islandczyków, a potem wywiozła komplet punktów z gorącego terenu w Pesaro z konfrontacji z Włochami. W tym drugim meczu słynny Nikola Jokić jak na siebie zagrał raczej przeciętnie i bez błysku - zdobył tylko osiem punktów w ciągu 24 minut. Na konferencji prasowej trener Dušan Alimpijević wyjawił, że zawodnik zmagał się z poważną chorobą przez ostatnie trzy dni, a mimo to kategorycznie odmówił opuszczenia zespołu. - Nikola był bardzo chory przez ostatnie trzy dni. Odmówił poddania się i nie chciał zostawić drużyny samej. Przyjechał, zagrał i ani razu nie narzekał. Zrobił to, co do niego należało i właśnie dlatego jesteśmy tacy dumni, mając takiego kapitana – stwierdził szkoleniowiec Serbii.

W listopadowym okienku reprezentacja Serbii ponowie zmierzy się z Włochami, a następnie zagra z Litwą, stając przed szansą na przypieczętowanie awansu.

Sensacyjna Gruzja

Wielkie rzeczy dzieją się w grupie I. Dwa razy w tym okienku przegrali Hiszpanie. Porażka u siebie z sąsiadami z Portugalii bolała bardzo! Oficjalny portal FIBA nazwał ją "szokiem w Saragossie!". El País podkreślał, że Portugalia "stanęła Hiszpanii ością w gardle". Media ganiły gospodarzy za brak stanowczości w obronie, liczne straty oraz całkowite oddanie rywalom kontroli nad zbiórkami.

MARCA pisała, że choć w kadrze prowadzonej przez Chusa Mateo zadebiutowały wielkie talenty przyszłej dekady (Aday Mara i Baba Miller), to spotkanie pokazało, jak wiele młody zespół musi się jeszcze nauczyć. Zamiast radosnego, "piknikowego" meczu, Hiszpanie trafili na niesamowicie zmotywowanego rywala.

Ale to Gruzja stała się największą sensacją tego okienka w grupie. Drużyna trenera Aleksandara Dzikicia u siebie zdemolowała Czarnogórę (101:74), a na koniec pokonała w Matosinhos Portugalię. Coraz częściej mówi się o "twierdzy Tbilisi". Komentatorzy podkreślają, że Gruzini przed własną publicznością stają się drużyną niemal nie do przejścia. Zwycięstwo nad Czarnogórą było ich trzecią z rzędu wygraną u siebie w tych eliminacjach. Media zachwycają się formą gruzińskich podkoszowych. Trio Toko Shengelia, Goga Bitadze oraz Sandro Mamukelaszwili zdominowało rywali, rzucając wspólnie aż 64 punkty w meczu otwarcia drugiej rundy. Ich gra pod koszem została określona jako „absolutny terror" dla defensywy Czarnogóry.

Hiszpania i Gruzja mają obecnie tyle samo punktów (po 13) i zajmują odpowiednio 2. i 3. miejsce. Na czele grupy po cichu ulokowała się... Ukraina. Drużyna, którą prowadzi doskonale znany w Polsce Ainars Bagackis, w 8 kolejkach odniosła aż 6 zwycięstw. Ukraińcy w tym okienku pokonali Greków i Czarnogórców. W pomeczowych analizach zachwycano się formą liderów formacji. Grający w NBA Swiatosław Mychajliuk (Utah Jazz), fantastycznie zbierający Dmytro Skapincew (były gracz New York Knicks) oraz młody rozgrywający Ołeksandr Kowlar (Buducnost Podgorica) są określani jako „motor napędowy", który w decydujących momentach potrafi zachować zimną krew.

Zachwycony Spoelstra

Do Europy przyleciał trener Erik Spoelstra, ale bynajmniej nie po to, by odpoczywać na wakacjach. Szkoleniowiec Miami Heat oraz reprezentacji USA pojawił się we włoskim Pesaro, by z trybun oglądać zacięte starcie Włochów z Serbią.

Słynny trener przyjechał osobiście doglądać swoich podopiecznych z Florydy. Na parkiecie naprzeciw siebie stanęli Simone Fontecchio reprezentujący barwy Włoch oraz młody serbski skrzydłowy Nikola Jović. Spoelstra w rozmowie z FIBA nie szczędził zachwytów nad poziomem prezentowanym na europejskich parkietach. - To są mecze o stawkę jak w play-offach. Poziom i intensywność tych spotkań są niesamowite – podkreślił szkoleniowiec Heat. - Gra dla reprezentacji to coś, do czego nasi zawodnicy podchodzą z ogromną pasją. Uwielbiam to obserwować. Po drugie, to dla nich szansa na wejście w inną rolę i rozwój. Zawsze zachęcamy naszych chłopaków do występów w barwach narodowych, bo nic tak dobrze nie przygotowuje do sezonu NBA.

(pp)

GRUPA I

1. Ukraina	8	14	684:624
2. Hiszpania	8	13	721:630
3. Gruzja	8	13	684:661
4. Portugalia	8	12	670:636
5. Grecja	8	12	617:596
6. Czarnogóra	8	12	574:633

GRUPA J

1. Turcja	8	16	735:581
2. Serbia	8	14	697:625
3. Włochy	8	13	664:615
4. Litwa	8	12	687:677
5. Bośnia i H.	8	11	625:617
6. Islandia	8	11	650:750

GRUPA K

1. Niemcy	8	15	749:657
2. Chorwacja	8	15	809:614
3. Polska	8	15	766:658
4. Łotwa	8	12	667:650
5. Holandia	8	10	672:686
6. Izrael	8	10	634:668

GRUPA L

1. Francja	8	15	681:573
2. Finlandia	8	13	645:634
3. Słowenia	8	12	672:670
4. Szwecja	8	12	649:668
5. Węgry	8	12	650:653
6. Estonia	8	11	643:664

Otwierają drzwi Rosjanom...

FIBA znosi ograniczenia dla zawodników z Rosji i Białorusi.

FIBA podjęła decyzję o zniesieniu ograniczeń dla indywidualnych zawodników, trenerów, sędziów i oficjalnych przedstawicieli z Rosji oraz Białorusi. Oznacza to, że mogą oni ze skutkiem natychmiastowym wracać do rywalizacji w rozgrywkach międzynarodowych, w tym w koszykówce tradycyjnej i 3x3. Decyzja ta jest następstwem działań Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, który wycofał swoje wcześniejsze rekomendacje dotyczące ogólnego zakazu startów dla sportowców z tych krajów.

Sprawa powrotu na arenę międzynarodową całych reprezentacji narodowych oraz klubów z Rosji i Białorusi pozostaje jednak nadal nierozstrzygnięta. Kwestie te – wraz z procedurami logistycznymi oraz wymogami bezpieczeństwa – będą przedmiotem ustaleń z MKOl i innymi federacjami sportowymi. Ostateczne decyzje dotyczące udziału drużyn zapadną podczas posiedzenia Zarządu Centralnego FIBA w grudniu 2026.

MKOl nie podjął jeszcze ustaleń w sprawie ewentualnego startu rosyjskich sportowców pod symbolami narodowymi, takimi jak flaga czy hymn, odkładając tę kwestię na później. Podtrzymano również postanowienie o nieorganizowaniu imprez sportowych na terytorium Rosji oraz niewysyłaniu zaproszeń na wydarzenia olimpijskie dla przedstawicieli rosyjskich władz państwowych. Ważnym warunkiem powrotu zawodników do rywalizacji pozostaje spełnienie restrykcyjnych wymogów antydopingowych i poddanie się niezależnym testom nadzorowanym przez Międzynarodową Agencję Badawczą. **(p)**

Fot. Łukasz Sobala / PressFocus

Kadra Rosji coraz bliżej powrotu na europejskie salony.

Sport 62faaaedab

Niezaspokojony apetyt

Cel, który sobie postawiłyśmy, został osiągnięty, ale mamy apetyt na więcej - zapowiada Alicja Grabka, rozgrywająca naszej kadry.

MISTRZOSTWA EUROPY KOBIET

Polki w mistrzostwach Europy kroczą od zwycięstwa do zwycięstwa. Są już w gronie ośmiu najlepszych zespołów. W 1/8 finału ograły bez straty seta Portugalię, będąc o klasę lepsze. To nie znaczy, że nie było kłopotów. W trzeciej partii nasze siatkarki straciły koncentrację. Zaczęły ją od 0:6, potem przegrywały 17:20. W końcówce wróciły jednak do dobrej gry i niespodzianki nie było. Niepotrzebnie w trzecim secie uciekła nam koncentracja, ja sama straciłam gdzieś dokładność. Moje wybory nie były do końca takie, jakie być powinny – tłumaczyła rozgrywająca Katarzyna Wenerska.

Decydujące piłki skończyła Julia Szczurowska, która w końcówce zastąpiła Magdalenę Stysiak. - Byłam trochę w szoku, bo dziewczyny zagrały dwa świetne sety, a trener nie robił żadnych zmian. Myślałyśmy, że tak już będzie do końca. Więc kiedy do nas pomachał, to rozgrzewka trwała może z 15 sekund – skomentowała atakująca.

To trzecie kolejne mistrzostwa Europy, w których Biało-czerwone awansowały do ćwierćfinału, ale tylko raz udało się im go przebrnąć. W 2019 roku pokonały 3:2 Niemcy, ale w grze o medale przegrały z Turcją i Włochami.

Polki o strefę medalową powalczą w czwartek (początek godz. 15.00, transmisja w Polsacie, Polsacie Sport i Polsacie Sport Extra 2) z Holandią. Ich rywalki w 1/8 finału miały trudną przeprawę. Ze Słowenią wygrały dopiero po tie-breaku. - Musimy zagrać inaczej niż z Portugalią, z drugiej strony my w mecze z mocniejszymi zespołami lepiej „wchodzimy". Gra Holandii jest bardziej poukładana niż Portugalii, której system gry jest trochę szalony. Wiemy, czego się spodziewać po tej drużynie, znamy bardzo dobrze zawodniczki, bo też często z nimi gramy – podsumowała Wenerska.

Fot. cev.eu

Polki w ME jak na razie spisują się na miarę oczekiwań.

Dodajmy, że w ostatnim sezonie koleżankami klubowymi w DevelopResie Rzeszów naszej rozgrywającej były Marrit Jasper i Laura Jansen, podstawowe przyjmujące „Pomarańczowych". Z kolei podstawowa atakująca Elles Dambrink, w nowym sezonie Tauron Ligi Kobiet będzie występować w ŁKS-ie Commercecon Łódź. O sile Holandii stanowią też środkowe, Indy Baijens i Britte Stuut. Zwłaszcza ta pierwsza spisuje się wybornie. Była jedną z głównych postaci meczu ze Słowenią. Zdobyła aż 22 punkty, co dla środkowej jest wynikiem znakomitym. Błyszczała nie tylko w ataku, ale zaserwowała też cztery asy i miała trzy punktowe bloki.

- Holenderki są nam dobrze znane. Wiemy, czym się charakteryzują i będziemy musiały się do tego zaadaptować, bo na co dzień nie jesteśmy przyzwyczajone do ich stylu gry. Na treningach wzajemnie się jednak napędzamy i sumiennie przygotowujemy. Wierzymy, że to my jesteśmy faworytkami i możemy wygrać ten mecz – stwierdziła Alicja Grabka.

Pod wodzą Stefano Lavariniego Polki z Holandią grały sześciokrotnie - cztery razy w meczach oficjalnych i dwa w sparingowych. Bilans jest korzystny dla naszej ekipy, która zwyciężała czterokrotnie. Przegrała w pierwszym spotkaniu – w 2023 roku w Lidze Narodów – oraz w rywalizacji towarzyskiej – dwa lata temu w Bielsku-Białej. Ostatni raz oba zespoły zmierzyły się 20 czerwca w Bangkoku, w drugim turnieju Ligi Narodów: Polska wygrała 3:1, a najwięcej punktów zdobyły Julita Piasecka (20), Magdalena Stysiak (13) i Monika Lampkowska (10).

(mic)

TERMINARZ ME SIATKAREK - FAZA PUCHAROWA

1/8 FINAŁU - BRNO

Francja	0:3 (16:25, 18:25, 20:25)	Grecja
Serbia	3:1 (19:25, 25:19, 25:17, 25;12)	Chorwacja
Włochy	3:0 (25:18, 25:13, 25:13)	Bułgaria
Czechy	0:3 (19:25, 23:25, 21:25)	Szwecja

STAMBUŁ

Holandia	3:2 (25:18, 19:25, 25:21, 29:31, 15:9)	Słowenia
POLSKA	3:0 (25:18, 25:17, 25:23)	Portugalia
Belgia	2:3 (25:20, 21:25, 20:25, 27:25, 8:15)	Niemcy
Turcja	3:0 (25:14, 25:16, 25:22)	Azerbejdżan

1/4 FINAŁU - BRNO

Serbia	3:0 (25:14, 25:20, 25:17)	Grecja
Włochy	3:1 (21:25, 26:24, 25:21, 25:23)	Szwecja

STAMBUŁ

POLSKA	3.09. QF 1	Holandia
Niemcy	3.09. QF 2	Turcja

PÓŁFINAŁY - STAMBUŁ

Zwycięzca QF1	5.09. SF 1	Włochy
Serbia	5.09. SF 2	Zwycięzca QF 2

MECZ O BRĄZOWY MEDAL - STAMBUŁ

6.09. Przegrany SF 1 – Przegrany SF 2

MECZ O ZLOTY MEDAL - STAMBUŁ

6.09. Zwycięzca SF 1 – Zwycięzca SF 2

CZTERY PYTANIA DO...

MAGDALENY ŚLIWY
wielokrotnej reprezentantki Polski,
dwukrotnej mistrzyni Europy z 2003 i 2005 roku

Będą nerwy!

1. Jak ocenia pani drużynę Holandii?

- Przed naszymi dziewczynami trudne zadanie. Holandia to solidny zespół. W 1/8 finału wygrała trudny mecz ze Słowenią 3:2. To będzie wymagający przeciwnik, ale... Polki z meczu na mecz grają coraz lepiej. Powiedziałabym, że grają na tyle, na ile trzeba. Najważniejsze, że wygrywają.

2. Najmocniejsze strony naszej drużyny?

- Przede wszystkim to, że dziewczyny się znakomicie rozumieją. Są kolektywem. Część zawodniczek jest doświadczonych, część młodych, jest kilka debiutantek na tak dużej imprezie, ale widać, że się świetnie dogadują. Mamy też wyrównany skład. Zmienniczki, gdy wchodziły na parkiet w trakcie meczu, bardzo dobrze wywiązywały się ze swojego zadania. Mamy wyrównany skład i to jest nasza siła.

3. Wiele kontrowersji wywołało zwycięstwo Polek z Turcją, decydujące o pierwszym miejscu w grupie A. Same nasze zawodniczki przyznały, że rywalki się podłożyły, bo chciały zająć drugą pozycję i dzięki temu ominąć w półfinale Włochy. Może nasze siatkarki powinny też tak postąpić?

- Nie ma co do tego wracać. Jak się chce zdobyć medal, to trzeba wygrać z każdym. Turcja, Serbia i Włochy to europejska czołówka i obojętnie z kim zagrałybyśmy, czekałoby nas bardzo trudne zadanie.

4. Polki zdobędą medal?

- Życzę dziewczynom jak najlepiej i bardzo bym chciała, by sięgnęły po medal. Obojętnie jakiego koloru. To realne. Ale po drodze będzie dużo nerwów.

Zapach sensacji

42 punkty Isabelle Haak nie wystarczyło Szwedkom do pokonania Włoszek. Faworytki najadły się jednak sporo strachu.

MISTRZOSTWA EUROPY KOBIET

Dla obu drużyn było to już drugie starcie w turnieju. W fazie grupowej siatkarki z Półwyspu Apenińskiego nie dały rywalkom żadnych szans, wygrywając 3:0 - do 18, 23 i 14. W 1/8 finału też zaczęło się planowo. Faworytki wygrywały już 11:6. I chyba stwierdziły, że jest po meczu. Stanęły. Zaczęły popełniać proste błędy. Przede wszystkim dały się jednak rozegrać Isabelle Haak. To jedna z najlepszych atakujących świata, ale w pierwszych minutach szło jej słabo. Gdy jednak złapała rytm, prezentowała się wspaniale. Grała jak natchniona. Z łatwością rozbijała włoski blok, a przecież naprzeciwko siebie miała mistrzynie olimpijskie i świata, wyborne specjalistki od bloku, jak Annę Danesi czy Sarah Fahr. Mimo to dała się zablokować zaledwie dwa razy, a wykonała aż 78 ataków.

Rozkojarzone Włoszki roztrwoniły przewagę. Przegrały pierwszą partię, a w drugiej były krok od kompromitacji, gdy w końcówce traciły dwa punkty (21:23). Zdołały jednak wyjść z kłopotów. Coraz lepiej grały Paola Egonu (27 pkt) i Jekaterina Antropowa (22 pkt). W defensywie natomiast szalała Myriam Sylla. To im Włoszki zawdzięczają, że po dwóch partiach był remis.

Na tym emocje się jednak nie skończyły. Szwedki cały czas mocno naciskały. Nie przejmowały się, że wysoko przegrywają, lecz walczyły do końca. Sama Isabelle Haak to jednak było zbyt mało. Do sensacji nie doszło. Faworytki przełamały swoją niemoc i choć z trudem, ale awansowały do strefy medalowej. W półfinale zmierzą się z wygranym z pary Holandia – Polska.

Takich kłopotów nie miała Serbia, która rozbiła Grecję. Mecz od początku był jednostronnym widowiskiem, w którym najlepsze były Tijana Bosković (17 pkt) i Aleksandra Uzelac (15 pkt).

(mic)

Sport 62faaaedab

MKOl patrzy na Polskę

Międzynarodowy Komitet Olimpijski spodziewa się od PKOl „niezbędnych kroków zgodnie ze swoim statutem" i czeka na informacje po aresztowaniu Radosława Piesiewicza.

Uważnie monitorujemy sytuację i czekamy na niezbędne decyzje narodowego komitetu zgodne z jego statutem - przekazał Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl) w odpowiedzi na pytania dotyczące sytuacji w PKOl po aresztowaniu prezesa Radosława Piesiewicza. MKOl nie odniósł się jednak w żaden sposób do kwestii ewentualnego zawieszania PKOl w prawach członka olimpijskiej centrali.

„MKOl pozostaje w kontakcie z Narodowym Komitetem Olimpijskim (NOC) w celu uzyskania dalszych wyjaśnień dotyczących obecnej sytuacji i będzie nadal uważnie monitorować kolejne kroki, mając na celu ochronę zarówno PKOl jako instytucji, jak też zabezpieczenie interesów ruchu olimpijskiego w Polsce" - napisano w komunikacie rzecznika organizacji.

Tłumaczył, że liczy na działania, które mają służyć m.in. „ochronie wiarygodności i reputacji instytucji oraz jej skutecznego funkcjonowania zgodnie z zasadami dobrego zarządzania, etyki i uczciwości obowiązującymi w ruchu olimpijskim, bez uszczerbku dla toczącego się postępowania sądowego".

Zaznaczono, że MKOl spodziewa się od PKOl „niezbędnych kroków zgodnie ze swoim statutem" i czeka na informacje w tej sprawie.

Piesiewicz (zgodził się na podawanie pełnego nazwiska) został zatrzymany w czwartek w Warszawie. Tego samego dnia w śląskim wydziale Prokuratury Krajowej usłyszał zarzuty płatnej protekcji oraz zaspokojenia grupy wierzycieli Zondacrypto z pokrzywdzeniem innych w związku z grożącą niewypłacalnością. Nie przyznaje się do winy. Sąd Rejonowy Katowice-Wschód w miniony weekend uwzględnił wniosek prokuratury i zdecydował o aresztowaniu szefa PKOl na trzy miesiące.

Giełda kryptowalut Zondacrypto od października 2025 była sponsorem generalnym PKOl. W kwietniu tego roku Piesiewicz poinformował, że jeśli do końca miesiąca nie wpłynie kolejna transza środków, komitet zerwie umowę. 30 kwietnia podjęto decyzję o wygaszeniu i demontażu neonu sponsora z siedziby komitetu w Warszawie.

W poniedziałek Mieczysław Nowicki, jeden z wiceprezesów PKOl, działając na podstawie upoważnienia Piesiewicza do jego zastępowania w kierowaniu organizacją, zwołał na 8 września posiedzenie prezydium zarządu. Większość z 16 - poza prezesem - członków tego gremium domaga się jednak jednoczesnego zwołania spotkania pełnego zarządu, tłumacząc, że jedynie to ciało ma kompetencje, by formalnie odwołać prezesa w trakcie trwania kadencji.

Nowicki przekazał, że na spotkanie prezydium została też zaproszona pięcioosobowa komisja rewizyjna. - Chcę, byśmy kolegialnie wyznaczyli datę posiedzenia zarządu - powiedział.

- Sytuacja jest wyjątkowa, dlatego zarząd chcemy zwołać w terminie możliwie szybkim. Poza prezydium w zarządzie działa około 40 osób. Musimy im dać czas, aby mogli sobie zarezerwować termin. Pamiętajmy, że wielu członków ma swoją pracę zawodową i przyjedzie z różnych miejsc w Polsce. Nie możemy działać z zaskoczenia – dodał Nowicki.

Piesiewicz kieruje PKOl od kwietnia 2023, a kadencja obecnych władz trwa do wiosny przyszłego roku.

(PAP)

Klątwa trwa

Hubert Hurkacz zagrał dobry mecz, ale przegrał z Benem Sheltonem i znów w Nowym Jorku odpadł w drugiej rundzie.

fot. PAP/EPA

Ósmy start w Nowym Jorku i kolejne rozczarowanie Huberta Hurkacza...

US OPEN

Co z tego, że Wrocławianin momentami pokazał świetny tenis, a mecz obfitował w znakomite wymiany, skoro ostatecznie po ponad trzech godzinach rywalizacji do trzeciej rundy wielkoszlemowego turnieju na amerykańskiej ziemi awansował rywal. Hubert Hurkacz (47. ATP) przegrał na głównej arenie Artur Ashe Stadium z rozstawionym z numerem 8. Amerykaninem Benem Sheltonem 3:6, 7:5, 6:7 (3-7), 5:7. Klątwa 29-letniego Polaka, byłego numer 6 na świecie, trwa w najlepsze - po raz ósmy rywalizował w US Open i nigdy nie przebrnął drugiej rundy!

Horror w 1. rundzie przetrwał rozstawiony z „dwójką" Alexander Zverev. Niemiec rozegrał drugi najdłuższy mecz w swojej karierze w turnieju wielkoszlemowym – po 4 godzinach i 53 minutach pokonał w pięciu setach Włocha Lorenzo Sonego, a mecz kończył się tuż przed drugą nad ranem czasu miejscowego.

W czwartek powinien odbyć się mecz drugiej rundy rozstawionej z nr 8. Igi Świątek z Argentynką Nadią Podoroską, ale deszcz torpeduje rozgrywki na kortach Flashing Meadows. W środę do 3. rundy awansowały – grające pod dachem – rozstawione Jessica Pegula i Marta Kostjuk, tymczasem nawet premierowych spotkań nie mogły dokończyć m.in. dwie Polki, Magdalena Fręch i Magda Linette.

Mecz Linette (82. WTA) z brytyjską kwalifikantką Francescą Jones (104.) został przerwany we wtorek po pierwszym secie. Polka zaczęła świetnie, od 3:0, ale przegrała partię 4:6. Fręch (41.) natomiast w pierwszym secie remisowała z rozstawioną z numerem 14. Amerykanką Ivą Jovic 4:4. Spotkania miały zostać wznowione w środowe południe czasu nowojorskiego, ale do zamknięcia wydania nic z tego nie wyszło, bo nad Wielkim Jabłkiem wciąż rządziły deszczowe chmury.

Także w środę spotkanie 2. rundy miał rozegrać Kamil Majchrzak - z rozstawionym z numerem 22. Valentinem Vacherotem z Monako.

(ToM)

1. runda singla

Kobiety

Gauff (USA, 4) - Sonmez (Turcja) 6:3, 6:4, M. Andriejewa (bez przynależności - bp, 5) - Janice Tjen (Indonezja) 6:2, 6:2, Putincewa (Kazachstan) - Bencic (Szwajcaria, 12) 4:6, 7:5, 6:3, Eala Filipiny, 17) – Stoiana (USA) 6:1, 6:2, Mertens (Belgia, 23) - Quevedo (Hiszpania) 6:4, 6:4, Potapova (Austria, 24) - Semenistaja (Łotwa) 6:2, 6:2, Sakkari (Grecja, 32) - Montgomery (USA) 2:6, 7:5, 6:2, Bondar (Węgry) - Havlickova (Czechy) 6:3, 6:3, Ołyjnykowa (Ukraina) - Brantmeier (USA) 6:4, 6:4, Bouzas Maneiro (Hiszpania) - Vidmanova (Czechy) 6:3, 6:4, Jeanjean (Francja) - Rus (Holandia) 7:6 (8-6), 6:2, Badosa (Hiszpania) – Kasatkina (Australia) 6:1, 6:4, Bartunkova (Czechy) – Sferif (Egipt) 6:1, 6:2.

Mężczyźni

Zverev (Niemcy, 2) – Sonego (Włochy) 6:4, 3:6, 6:7 (7-9), 7:5, 6:4, Musetti (Włochy, 13) - Fery (W. Brytania) 6:3, 6:3, 7:5, F. Cerundolo (Argentyna, 24) - Misolic (Austria) 6:4, 6:3, 7:5, Bellucci (Włochy) - Piros (Węgry) 6:4, 6:2, 6:0, Sweeny (Australia) - Moutet (Francja) 7:6 (7-4), 6:4, 3:0 i krecz, Struff (Niemcy) - Carabelli (Argentyna) 6:4, 6:3, 6:3, Schoolkate (Australia) - Basavareddy (USA) 7:6 (7-4), 3:6, 6:3, 6:4, Monfils (Francja) - Vallejo (Paragwaj) 2:6, 6:1, 6:2, 6:0, Gea (Francja) – J. M. Cerundolo (Argentyna) 6:3, 2:6, 3:6, 6:3, 6:1, Van De Zandschulp (Holandia) – Choinski (W. Brytania) 6:3, 6:1, 7:6 (7-5), Bonzi (Francja) – Molcan (Słowacja) 6:4, 3:6, 6:3, 6:2,

2. runda

Kobiety

Pegula (USA, 3) – Kenin (USA) 6:3, 6:1, Muchova (Czechy, 7) – Boulter (W. Brytania) 6:1, 6:0, Kostjuk (Ukraina, 11) – Stephens (USA) 6:1, 7:5, Sznajder (bp, 15) – Pliskova (Czechy) 6:1, 7:6 (7-4), Cirstea (Rumunia, 16) – Parry (Francja) 6:2, 7:5, Paolini (Włochy, 19) – Stefanini (Włochy) 6:4, 6:1, Fernandez (Kanada, 31) – Sawangkaew (Tajlandia) 6:4, 6:1, Townsend (USA) – Preston (Australia) 6:1, 6:1.

Mężczyźni

Shelton (USA, 8) – Hurkacz (Polska) 6:3, 5:7, 7:6 (7-3), 7:5, Miedwiediew (bp, 7) – Gorzny (USA) 6:1, 6:3, 7:5, Michelsen (USA) – Nakashima (USA, 16) 6:3, 6:4, 6:4, Merida Aguilar (Hiszpania) – Rublow (bp, 23) 6:7 (3-7), 6:2, 6:4, 6:4, Rinderknech (Francja, 26) – Munar (Hiszpania) 7:6 (7-4), 6:2, 7:5.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 3 WRZEŚNIA

TVP 1
20.10. Wiadomości sportowe

TVP 3
16.25, 19.00, 21.51 Przegląd wydarzeń regionalnych

POLSAT
14.45 Siatkówka: ME kobiet, Polska – Holandia (na żywo); 19.35 Wiadomości sportowe

TVN
19.35 Wiadomości sportowe

TVP SPORT
14.25 Pn: STS Puchar Polski, Avia Świdnik – Wieczysta Kraków, 17.25 GKS Tychy – ŁKS Łódź, 20.25 Śląsk Wrocław – Pogoń Szczecin (na żywo)

EUROSPORT 1
12.45 Kolarstwo: Vuelta a Espana, 12. etap (na żywo); 17.45 Tenis: Turniej US Open w Nowym Jorku (na żywo)

EUROSPORT 2
16.30 Tenis: Turniej US Open w Nowym Jorku (na żywo)

POLSAT SPORT 1
14.45 Siatkówka: ME kobiet, Polska – Holandia, 17.50 Niemcy – Turcja (na żywo)

POLSAT SPORT 2
20.55 Pn: Puchar Włoch, Cagliari – Hellas Werona (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
14.45 Siatkówka: ME kobiet, Polska – Holandia, 17.50 Niemcy – Turcja (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 3
13.30 Golf: Omega European Masters (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
12.30, 16.30 Kajakarstwo: Puchar Świata w Vaires-sur-Marne

CANAL+ SPORT
20.55 Pn: Liga hiszpańska, Real Sociedad – Celta Vigo (na żywo)

CANAL+ SPORT 3
17.55 Pn: PKO BP Ekstraklasa, Raków Częstochowa – Górnik Zabrze, 20.25 Lech Poznań = Jagiellonia Białystok (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
20.40 Pn: Liga francuska, Tuluza – Lille (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmiany w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny
Tomasz MUCHA
Redaktor wydania Tomasz MUCHA
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport 62faaaedab

Z furgonetki na fotel z

Joe Dean w chwytającym za serce stylu triumfował w kultowym The Belfry. Adrian Meronk po bardzo, bardzo długim czasie grał jak najlepsza wersja samego siebie. Tęskniliśmy za tymi emocjami.

Obie historie mają swój ładunek emocjonalny. Anglik wywalczył pierwsze zwycięstwo na DP World Tour, akurat na słynnym angielskim polu Brabazon, arenie aż czterech edycji Ryder Cup, podczas turnieju rozpoczynającego kwalifikacje do drużyny europejskiej w Irlandii. Polak z kolei rozegrał swój pierwszy turniej na DP World Tour po zakończeniu sezonu LIV Golf, być może ostatniego w historii. Grał fantastycznie, podczas drugiej połowy rundy finałowej depcząc po piętach zmieniającym się nieustannie liderom. To był ten Adrian, jakiego pamiętamy z czasów, kiedy czterokrotnie triumfował w lidze, ten sam błysk w oku, te same ciarki na plecach kibiców.

Trudne początki

Niesamowita historia Joe Deana brzmi jak gotowy scenariusz filmowy, w którym wielkie marzenia z dzieciństwa zderzają się z brutalną rzeczywistością, by ostatecznie przynieść triumf w miejscu wręcz wymarzonym na taką okazję. Pochodzący z Sheffield 32-latek już od najmłodszych lat zdradzał gigantyczny talent do golfa. Szybko zyskał status jednego z najbardziej obiecujących amatorów w kraju, wygrywając chociażby prestiżowy turniej English Amateur w 2015 roku i stając przed szansą na wielką karierę.

Brak sponsorów oraz potężne koszty finansowe przeznaczane na grę w turniejach brutalnie zweryfikowały te plany po przejściu na zawodowstwo, zmuszając go do odłożenia kijów golfowych na bok. Jeszcze kilka lat temu Dean zarabiał na życie jako kierowca dostawczego busa w sieci supermarketów Morrisons, rozwożąc codzienne zakupy bezpośrednio do domów klientów za stawkę 85 funtów za zmianę. Ta ciężka praca, trwająca z przerwami przez niemal cztery lata pandemii, miała tylko jeden cel – odłożenie funduszy na opłacenie wpisowych w kolejnych turniejach. Joe wskakiwał za kółko swojego wehikułu, jeździł od domu do domu i taszczył pod same drzwi pudła i reklamówki z zakupami.

Angielskie „Love Story"

Wytrwałość, a można nawet powiedzieć - niezłomność przyniosła jednak owoce w najmniej oczekiwanym i najbardziej romantycznym momencie jego życia. Prawdziwa jazda bez trzymanki rozpoczęła się w lipcu, kiedy to Dean rzutem na taśmę wywalczył przepustkę do The Open Championship, wygrywając poniedziałkowy, nowo utworzony turniej, gdzie tylko zwycięzca otrzymywał wymarzoną kwalifikację. Caddiem w tej batalii ostatniej szansy oraz podczas samego turnieju głównego była jego narzeczona Emily Lyle.

Jeszcze kilka lat temu Dean zarabiał na życie jako kierowca dostawczego busa w sieci supermarketów Morrisons, rozwożąc codzienne zakupy bezpośrednio do domów klientów za stawkę 85 funtów za zmianę. Ta ciężka praca, trwająca z przerwami przez niemal cztery lata pandemii, miała tylko jeden cel – odłożenie funduszy na opłacenie wpisowych w kolejnych turniejach.

Zdjęcia: Husqvarna British Masters, hosted by Sir Nick Faldo

Joe Dean napawa się swoim wielkim zwycięstwem.

Z kolei dwa dni po zakończeniu The Open, we wtorek, ponieważ - jak sam z rozbrajającą szczerością przyznawał później pan młody - wtedy było… taniej, para wzięła ślub i bawiła się na swoim weselu. I nawet fakt, że Dean nie przeszedł cuta na historycznym polu Royal Birkdale, nie mógł zmącić szczęścia młodej pary. Miesiąc po tym wyjątkowym dniu, nowo poślubiona żona ponownie go wspierała, tym razem na polu The Belfry, targając jego torbę i dodając mu otuchy w trudniejszych chwilach, będąc częścią spektakularnego zwycięstwa męża w turnieju Husqvarna British Masters hosted by Sir Nick Faldo!

Niedziela marzeń

Finałowa niedziela w The Belfry wystawiła nerwy Anglika i jego żony na najcięższą próbę. Z powodu wcześniejszych opóźnień pogodowych Dean musiał rozegrać w niedzielę aż 31 dołków, rozpoczynając dogrywanie trzeciej rundy już o siódmej rano. Przystępując do finału z odległego 25. miejsca i ze stratą siedmiu uderzeń do lidera, przeprowadził jednak jeden z najbardziej spektakularnych powrotów w historii turnieju. Dean odpalił rundę życia – uzyskał bezbłędny wynik 63, zawierający aż 9 birdie i zero bogeyów, w tym zdobywając cztery birdie na ostatnich sześciu dołkach i dwa na ostatnich dwóch!

Zaraz po podpisaniu karty wyników z łącznym rezultatem -14, dla państwa Deanów rozpoczęła się kolejna nerwówka. Ponieważ Anglik startował wczesnym popołudniem, w momencie gdy kończył swój występ, ponad połowa stawki – w tym najgroźniejsi rywale z liderującej grupy – miała przed sobą jeszcze wiele do rozegrania. Joe musiał czekać w domu klubowym przez ponad 90 minut, nerwowo obserwując tablicę wyników i śledząc poczynania m.in. goniącego go Marco Penge'a. Presja zeszła z niego dopiero wtedy, gdy rywale zaczęli seryjnie gubić punkty na trudnej końcówce pola Brabazon, a Penge zanotował bogeya znikąd na siedemnastce par 5. Wynik Deana okazał się nie do pobicia i przyniósł upragnione, trzyuderzeniowe zwycięstwo, czek na kwotę 437 tysięcy funtów oraz pozycję lidera w rankingu kwalifikacyjnym do europejskiej drużyny na Ryder Cup w Irlandii w przyszłym roku.

Inne życie

W walce o trofeum oprócz Marco Penge'a, który ostatecznie spadł z hukiem na szóste miejsce, tasowało się kilku świetnych rywali, którzy ostatecznie podzielili między sobą drugą pozycję. W ścisłej grze o zwycięstwo pozostawał Daniel Hillier z Nowej Zelandii – to on rozpoczynał finałową rundę jako samodzielny lider z przewagą aż siedmiu uderzeń nad De-

Taka żona to prawdziwy skarb.

wyciężcy

Joe Dean wystrzelił się na inną orbitę.

anem, jednak runda 73 pozbawiła go marzeń o zwycięstwie.

Kroku dotrzymywali mu reprezentanci Danii: doświadczony Niklas Nørgaard, który po świetnej trzeciej rundzie 67 w finale zanotował 71 uderzeń, oraz sensacyjny, leworęczny 27-latek Jacob Skov Olesen, który w pewnym momencie był samodzielnym liderem. Do tej grupy rzutem na taśmę dołączył także Hiszpan Nacho Elvira, który finiszował solidnymi 69 uderzeniami. Wszyscy oni do ostatniej chwili próbowali dogonić kosmiczny wynik Anglika, lecz im się to nie udało.

Tuż po swoim wielkim triumfie dość emocjonalnie i odrobinę chaotycznie odpowiadał na pytania reporterki: „Wszystkie te bolesne godziny i cała praca, którą w to włożyłem, w końcu do czegoś doprowadziły. Jestem szczęśliwy. Nie potrafię wystarczająco podziękować Emily za to, co musiała ze mną znosić. Mam nadzieję, że ją uszczęśliwiłem. Brakuje mi słów. Myślę, że oboje jesteśmy po prostu bardzo szczęśliwi i w tej chwili trochę przypominamy króliki w światłach reflektorów".

Chociaż teraz nie musi się już martwić o wiązanie końca z końcem, dostarczając zakupy wanem, wyznał, że nadal czuje się tym samym człowiekiem, mimo, że życie z pewnością się zmieniło. „Wciąż widuję chłopaków" – przyznał. „Tak, przez większość czasu sprawiało mi to przyjemność. To po prostu zupełnie inne życie, zupełnie inny styl życia. Od czasu do czasu wciąż widuję furgonetki jeżdżące w górę i w dół drogi, więc tak, utrzymuję kontakt".

Niepewna przyszłość Polaka

Na polu Brabazon ze świetnej strony pokazał się Adrian Meronk, który grał tam jak za swoich najlepszych czasów, kiedy to pomiędzy lipcem 2022 a październikiem 2023 wygrywał cztery razy na DP World Tour! Polak przybył do Anglii bezpośrednio zza oceanu po rozegraniu turnieju LIV Golf Indianapolis, ostatniego w sezonie saudyjskiej ligi.

Zadanie jest bardzo jasne: Adrian w trybie pilnym walczy o ratowanie swojej sportowej przyszłości w europejskim golfie. Ten sezon nie był dla niego łaskawy – w lidze LIV, która być może w przyszłym sezonie nawet nie będzie już istnieć, a przynajmniej nie w takiej formie jak do tej pory, notował rozczarowujące występy, kończąc zmagania indywidualne na odległej 45. pozycji w rankingu i ani razu nie meldując się w czołowej dwudziestce. Równie słabo wiodło mu się w nielicznych startach w DP World Tour, przez co w klasyfikacji Race to Dubai przed turniejem tąpnął aż na 199. pozycję. Teraz wygasa trzyletnie prawo do gry, które przysługiwało mu za spektakularne trzy zwycięstwa w sezonie 2023, kiedy wybrano go też Graczem Roku na DPWT. Wobec niepewnej przyszłości LIV Golf, Adrian walczy jak lew o kartę w Europie.

Adrian Meronk w trybie pilnym walczy o ratowanie swojej sportowej przyszłości w europejskim golfie. Ten sezon nie był dla niego łaskawy – w lidze LIV kończył zmagania na odległej 45. pozycji . Równie słabo wiodło mu się w nielicznych startach w DP World Tour, przez co w klasyfikacji Race to Dubai przed turniejem tąpnął aż na 199. pozycję. Teraz wygasa trzyletnie prawo do gry, które przysługiwało mu za spektakularne trzy zwycięstwa w sezonie 2023.

Jak za najlepszych lat

Nie było łatwo na polu Brabazon. W czwartek z powodu burz i podtopionego pola wielu zawodników nawet nie rozpoczęło rywalizacji. W piątek Polak nadrabiał stracony czas, rozgrywając 27 dołków, balansując w okolicy cuta. W sobotę najpierw musiał dokończyć drugą rundę, a za moment ponownie ruszył na pole, dopóki nie dopadły go angielskie ciemności. Po szarpanych z powodu kaprysów pogodowych rundach 72-71-68 naprawdę szalał w finale. To był „Vintage Meronk"! Grając z fantazją od słynnej dziesiątki par 4 pola Brabazon, gdzie pierwszym uderzeniem atakował broniony przez drzewa i wodę green, zaliczył birdie. Kolejne birdie notował na trzynastce, siedemnastce, jedynce i trójce - wszystko bez ani jednego bogeya.

Kiedy Dean był na szesnastym dołku, Adrian po swoich dwunastu dołkach wspiął się na czwartą pozycję w klasyfikacji generalnej z dwoma uderzeniami straty do prowadzącego Anglika. Przystępując do przedostatniego dołka, był piąty. Wtedy przyszedł gorszy moment, kiedy Wrocławianin zaliczył tam kosztownego double bogeya, który ostatecznie spowodował spadek na 15. miejsce w klasyfikacji. Tak czy siak, to był świetny występ Polaka, dzięki któremu wykonał pierwszy krok w kierunku utrzymania karty na przyszły sezon, awansując w rankingu Race to Dubai o 26 pozycji - na miejsce 174.

Pytany o wrażenia i najbliższe plany, depeszował zwięźle dla naszej redakcji: „Grało mi się solidnie. Jestem trochę niezadowolony z długich ironów ostatniego dnia, ale ogólnie było dużo dobrego. Czuję lekki niedosyt finiszem, ale lecimy dalej. Teraz gram wszystko po kolei".

Dopytywany, do kiedy gra kolejne z rzędu turnieje, doprecyzował, że do rozgrywanego w pierwszym tygodniu października Alfred Dunhill Links Championship. Oznacza to występy tydzień po tygodniu w Szwajcarii, Irlandii - turnieju, w którym zdobywał swój pierwszy skalp na European Tour, flagowym turnieju ligi - w Wentworth i w Paryżu na polu Le Golf Nationale, znanym z Ryder Cup 2018 i igrzysk olimpijskich. Pierwszy turniej z tej serii - Omega European Masters - rozpoczyna się już w czwartek na spektakularnym Crans-sur-Sierre Golf Club w Crans Montana. Turniej transmituje Polsat Sport, jednak tylko niedzielny finał, najprawdopodobniej na Polsacie Sport Extra 4, planowany jest z komentarzem, tym razem Jacka Persona. Przez pierwsze trzy dni możemy usłyszeć tylko szum wiatru, rozmowy na polu i śpiew ptaków.

Kibicujemy! #GoMeronk!

Kasia Nieciak

Fot. Team Meronk
Ten błysk w oku Adriana!

WYMIANA KOSZULEK

Nierozstawieni, **ustawieni**

Wojciech Kuczok

Czego to trenerzy nie wymyślą, żeby błysnąć na konferencji po meczu, w którym ich drużyna nie zabłysła. Marek Papszun co prawda zdołał zauważyć, że Legia przegrała z Motorem wysoko i zasłużenie, a nawet przyznał, że jego podopieczni nie ustrzegli się błędów, ale niestety chwilę później sam ustrzegł się rozumu i zwalił winę za porażkę na niesprawiedliwy regulamin losowań Pucharu Polski. Otóż, w przekonaniu Papszuna Legia powinna być rozstawiona. I przyjąłbym jako zabawny, choć bezczelny argument, gdyby chodziło o sam fakt bycia Legią, 21-krotną zdobywczynią PP – ale Papszun jął wywodzić, że to warszawski klub jest numerem jeden, skoro w zeszłym sezonie był numerem sześć.

O cierpliwość potrafił też wnioskować Michał Probierz swoim słynnym performensem z doniczką, do której nalał wody i zademonstrował, że nic od razu nie rośnie. Gdyby drużyny Probierza wykazywały się na boiskach taką inwencją, jak on na konferencjach, dzisiaj niechybnie prowadziłby jakąś drużynę z europejskiego top 5.

Czyli pech albo spisek antywarszawski popsuł piękną serię meczów bez porażki, zanotowaną przez Legionistów na otwarcie sezonu – skądinąd właśnie dzięki łaskawemu terminarzowi. Strach pomyśleć, co by wygadywał Papszun, gdyby Legia w sierpniu musiała się zmierzyć choć raz z ekipą, która ubiegły sezon skończyła w górnej połówce tabeli. Legia lideruje nad stan, bo w przeciwieństwie do naszych ekip eksportowych rozegrała komplet meczów ze słabszymi rywalami – weryfikacja tak czy owak musiała nastąpić, a że stało się to na boisku słabującego ostatnio Motoru, zabolało szczególnie.

Papszun wie, że Legia zaraz zacznie zbierać baty na miarę swojej rzeczywistej wartości, a ta sytuuje stołeczny klub co najwyżej gdzieś w środku tabeli ekstraklasy. Rzadko chodzę na pomeczowe konferencje prasowe, bo większość trenerów to straszni nudziarze – w większości nie potrafią sklecić kilku inspirujących zdań, po przegranej przychodzą na konferencje z obrażoną miną, wypowiadają kilka wyuczonych sloganów, nawet nie podnosząc wzroku na gawiedź dziennikarską, z nadzieją, że nikt nie będzie drążył. A jeśli już wejdą w kontakt wzrokowy, to sprowokowani wściekle się bronią, kiedy tylko zadać im w najłagodniejszej choćby formie pytanie o kiepską grę.

Piłkarze nie są tu lepsi, znacznie częściej idą w ślady Michała „fatalny to ty jesteś" Kucharczyka, niż Grzegorz Tomasiewicza, który miał ostatnio odwagę przed kamerą przyznać, że chciał zrobić Barcelonę, ale „zajebał". Trudno mi też znieść ten niewerbalnie okazywany kompleks wyższości - jakim prawem te pismaki-chudopachołki męczą mnie, dlaczego w ogóle muszę z nimi gadać, skoro w miesiąc zarabiam więcej, niż oni uciułają przez cały rok?

Trenerzy, o ile nie mają okazji zasugerować, że porażka wyniknęła z błędów sędziowskich, mamroczą najczęściej truizm, że jeden błąd i stracona bramka ustawiła mecz. Jakby nie zdawali sobie sprawy, że w ten sposób wystawiają sobie mierną cenzurkę - bo to raczej oznacza, że jesteś kiepskim trenerem, jeśli twoja ekipa się poddaje po stracie pierwszego gola. Nie nauczyłeś swojej ferajny, że mecze trwają 90 minut? Gierki treningowe też gracie do pierwszej straconej? A jakiś plan B czasem udaje się przygotować na wszelki wypadek?

Słynny anegdociarz Wojciech Łazarek przynajmniej potrafił rozładować atmosferę po porażkach i przyznać na przykład, że plan był „na udo. Albo się udo, albo nie udo". Albo półserio zauważyć, że „Owszem, przegraliśmy cały mecz, ale wygraliśmy przecież drugą połowę" – po 1:3 z Irlandią, gdzie do przerwy było już pozamiatane.

Słynny anegdociarz Wojciech Łazarek przynajmniej potrafił rozładować atmosferę po porażkach i przyznać na przykład, że plan był „na udo. Albo się udo, albo nie udo". Albo półserio zauważyć, że „Owszem, przegraliśmy cały mecz, ale wygraliśmy przecież drugą połowę" – po 1:3 z Irlandią, gdzie do przerwy było już pozamiatane. Miał też niezapomniane porównania zoologiczne - o niewdzięcznej pracy trenera mawiał, że „jest jak całowanie tygrysa w dupę – przyjemność żadna, a ryzyko duże". Albo że wymaga cierpliwości bo „jest jak robienie słonia: dużo kurzu, szumu, a efekt za dwa lata".

Ocierpliwość potrafił też wnioskować Michał Probierz swoim słynnym performensem z doniczką, do której nalał wody i zademonstrował, że nic od razu nie rośnie. Gdyby drużyny Probierza wykazywały się na boiskach taką inwencją, jak on na konferencjach, dzisiaj niechybnie prowadziłby jakąś drużynę z europejskiego top 5. Najczęściej jednak trenerzy w salach konferencyjnych tonują emocje, a żeby poznać ich temperament, trzeba nieco szczęścia lub podstępu.

Po meczu Lechii Gdańsk z Ruchem w maju 2013 roku, kiedy Niebiescy w doliczonym czasie stracili dwie bramki i zwycięstwo, podejrzewałem, że to była ustawka, bo Lechia potrzebowała punktu do utrzymania. Zmieniłem zdanie w toalecie dla dziennikarzy, która znajdowała się dokładnie nad szatnią gości - ówczesny coach Ruchu, Jacek Zieliński, tak się darł na piłkarzy, że po rurach niosło piętro wyżej. Do dzisiaj pamiętam każde z wywrzaskiwanych przekleństw, o których znajomość użytkową pana Jacka bym nie podejrzewał.

Fot. Weronika Marciszek/PressFocus

Sport 62faaaedab